Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

WIEM WSZYSTKO

50 GR

INFORMACYJNY TYGODNIK AKTUALNOŚCI

Nr. 17 | Warszawa, Niedziela 17 maja 1936 r. | Rok I

Świętopietrze polskiej nędzy

Dochody Watykanu, a ograniczenia dewizowe Rządu Polskiego

Artykuł nasz p. t. „Polska zawsze wierna... Rzymowi", zamieszczony w Nr. 15-tym „Wiem Wszystko", a zakończony apelem do J. E. Ks. Kardynała prymasa Hlonda, o postawienie do dyspozycji Skarbu Państwa skarbców kościelnych oraz sum przekazywanych przez kler rzymsko - katolicki do Rzymu — wywołał istną burzę w prasie prowincjonalnej i warszawskiej, dowodzącą, jak bardzo palący i ważki poruszyliśmy problem.

Sądząc z wycinków prasowych nadesłanych nam przez agencje, wszystkie te głosy podzielić się dadzą na trzy grupy: —

1) artykuły zarzucające nam atak na Kościół i religję(!)

2) Polemiki dowodzące niecelowości naszej propozycji.

3) Pytania, w jaki sposób wyobrażamy sobie realizację naszej tezy.

Na każdy z powyższych punktów odpowiemy kolejno. —

POLSKA PRZEDEWSZYSTKIEM

Zarzuty atakowania przez nas Kościoła i religji, są śmieszne! W omawianym bowiem artykule wyraźnie zaznaczyliśmy, że:

„... Abstrahujemy najzupełniej od spraw religji i zgóry przyznajemy Rzymowi olbrzymie zasługi, jakie położył na polu krzewienia u nas kultury zachodniej, co zostało wielokroć potwierdzone przez historję.

Stawiamy sprawę jasno: oddzielamy duchową i świecką politykę Kościoła od finansowych stosunków Rzymu z państwem polskiem.

O pierwszych dwóch zagadnieniach mówić nie chcemy — trzecie postaramy się zbadać aż do samego dna".

Pomijając już poważny i rzeczowy ton naszego artykułu — sprawa została sprecyzowana najzupełniej chyba wyraźnie i zrozumiale, oraz odgraniczona od wszelkich, mogących wywołać, najmniejsze choćby zadraźnienie, momentów:

Wysunięte jednak przez niektóre pisma zarzuty, **zmuszają nas do postawienia kropki nad „i".**

Chcąc raz na zawsze przeciąć możliwość podobnych insynuacji, **mogących mieć na celu wyłącznie odsunięcie na plan dalszy poruszonego przez nas zagadnienia, przez sprowadzenie dyskusji na zupełnie błędne tory** — oświadczamy jaknajbardziej kategorycznie:

Nie mamy najmniejszego zamiaru, ani intencji, atakować zasady etyki i nakazy moralne religji, będące kamieniem węgielnym życia społeczeństw, ani tem mniej odmawiać Kościołowi prymatu duchowego przewodnictwa w tej dziedzinie.

Ale —

Rozumiejąc w pełni, iż Kościół jako instytucja międzynarodowa, (czy „ponadpaństwowa", jak chcą profesorzy prawa kanonicznego) — nie może się w swych poczynaniach i polityce kierować interesem jednego tylko narodu — musimy się przeciwstawić wszelkim posunięciom kolidującym z interesem Narodu i Państwa Polskiego.

I to jest wszystko.

Jesteśmy polonofilami i uważamy, że — Polska przedewszystkiem!

Zresztą — tego samego zdania był za czasów królewskich, arcybiskup Trąba, któremu gdy Święte Kolegjum zaproponowało wysunięcie jego kandydatury na stolicę Piotrową — odparł: **„Gdy Trąba zostanie papieżem— Rzym będzie w Krakowie!"**

LINJA RICHELIEU'GO

Wielki kardynał i wielki Francuz — Armand du Plessis duc de Richelieu — eminencja, książę Francji i książę Kościoła — aż nazbyt często przeciwstawiał się polityce Rzymu, gdy kolidowała ona z polityką Francji.

W skrzyżowaniu interesów Kościoła i Państwa — Richelieu zawsze stawał po stronie tego ostatniego.

A przecież, mimo to, otrzymał kapelusz kardynalski i nikt nie ośmielił się zarzucić mu, by był złym synem Kościoła, niegodnym purpury, którą go obdarzono.

Przyznajemy się otwarcie: linja polityki Richelieu'go jest nam niezwykle sympatyczna! Wyznajemy to pod adresem tych, którzy insynuują nam „napaści" i „ataki". Dla nich chyba kardynał jest dostatecznym autorytetem! Otóż to — dla nas, w tym wypadku — także.

„Linja Richelieu'go" pogodziła nas.

KOŚCIOŁY SĄ BIEDNE

„Dziennik Poznański" dowodzi niecelowości i nierealności naszej propozycji, twierdząc, iż skarbce kościelne są legendą, że są w Polsce kościoły liczące po 700 lat, w których niema ani jednego złotego kielicha, i że przekazanie skarbowi państwa tych nielicznych kosztowności, byłoby „kroplą w morzu". W końcu pisze, że nie jest jeszcze u nas tak źle, by się trzeba było odwoływać aż do takiego środka ratunku.

Nie będziemy się sprzeczać z „Dziennikiem Poznańskim" o wartość i szacunek skarbców kościelnych w Polsce. Milczeniem jesteśmy zmuszeni pominąć nietaktowne „wycieczki" „Warsz. Dziennika Narodowego". Chcemy jedynie podkreślić, że **chwila jest więcej poważna i groźna niżby się zdawać mogło, i że każdy gram złota i każdy karat klejnotu, leżący bezużytecznie w zakrystjach, może się walnie przyczynić do uchronienia kraju od katastrofy.**

W sytuacji, w której się znajdujemy każda „kropla" jest cenna, bo z sumy tych kropli składa się morze, a czarne morze nędzy, które nas zalewa w tej chwili, może z łatwością zamienić się w... czerwone morze rewolucji!

Pozatem „Dziennik Poznański" **ani słowem nie wspomina o przekazywanych do Rzymu kwotach z iura stolae — a to jest przecież najważniejsze i stanowi oś całego zagadnienia!**

PYTANIE, JAK?

Cały szereg pism zastanawia się nad możliwością realizacji naszej tezy i nie widzi żadnej drogi, którąby tę sprawę postawiła na konkretnej płaszczyźnie.

Otóż, droga ta istnieje. **Droga niezwykle łatwa, prosta i — co najważniejsze — szybka i skuteczna.**

Nim jednak przystąpimy do jej omówienia, zastanówmy się, jak obecnie odbywa się ściąganie „iura stolae czyli dochodów z t. zw. prawa stuły.—

Każdy wie, że za chrzest, ślub, czy pogrzeb, ksiądz jako urzędnik stanu cywilnego ma prawo pobierać pewne opłaty, które są kwitowane i wciągane do ksiąg parafjalnych. **Opłaty te jednak obejmują najprostszą jedynie, najskromniejszą formę danego obrządku.** Za wszelkie dodatki, mające uświetnić ceremonję dopłaca się sumy zależne od stanu materjalnego parafjanina i... żądań proboszcza.

Możnaby zażądać, by wszelkie sumy **wpłacane z tytułu „iura stolae" były kwitowane i wciągane do ksiąg ale to do niczego by nie doprowadziło. Opłaty bowiem byłyby ściągane w ustawowej, minimalnej wysokości, a nadwyżki... nadwyżki byłyby składane na stojącą np. przy księdze tacę, jako... ofiary na kościół. Ofiar zaś do ksiąg parafjalnych wciągać nie można, podobnie, jak nie wciąga się do nich sum zbieranych po nabożeństwie „na tacę".**

Należy więc poszukać innego sposobu, **chodzi bowiem o kwoty idące w dziesiątki miljonów złotych rocznie!**

„FUNDUSZ NUNCJATURY" I OGRANICZENIA DEWIZOWE

W artykule „Polska, zawsze wierna... Rzymowi" pisaliśmy:

„...Świętopietrze jest to kwota wpłacana stolicy apostolskiej przez państwa konkordatowe. **Dla Polski wynosi ona 12 miljonów złotych rocznie.**

Niezależnie jednak od tego, **kler wszystkich krajów, a więc i Polski, przekazuje do Rzymu pewną część „iura stolae".** Jaką część mianowicie i ile ona wynosi — dociec jest prawie niemożliwością, gdyż **księgi parafjalne notują opłaty w określonej przez państwo wysokości... minimalnej.**

Jednak przyjmując, że **sumy wysyłane do Rzymu łącznie ze świętopietrzem nie przenoszą 20% ogółu dochodów kleru — otrzymamy cyfrę 50 miljonów złotych, która rok rocznie wypływa z naszego kraju do kas Banku Watykańskiego.**

Jaką drogą? Najprostszą w świecie — przez t. zw. „fundusz nuncjatury" czyli za pośrednictwem poselstwa watykańskiego. We wszystkich krajach **sumy, mające być przekazane do Rzymu, poza oficjalną kwotą świętopietrza, wpłacane są do nuncjatur papieskich, które wysyłają je drogą dyplomatyczną, t. j. poza kontrolą danego państwa".**

Od czasu wydrukowania powyższego ustępu upłynęło dwa tygodnie i w międzyczasie rząd polski wprowadził ograniczenia dewizowe, zabraniające wywozu waluty z kraju.

I tu stajemy wobec całej serji paradoksów!

Paradoks pierwszy:

Z jednej strony obywatelom polskim zakazuje się wywożenia z kraju waluty, poza ustawowo dozwoloną kwotą 500 złotych — z drugiej strony pewna kategorja tych obywateli ma możność swobodnego wysyłania miljonowych sum za pośrednictwem obcego poselstwa.

Paradoks drugi: wysyłającymi walutę są urzędnicy stanu cywilnego, z racji więc swego stanowiska, w pierwszej linji obowiązani przestrzegać rozporządzeń władzy.

Paradoks trzeci: dokładna wysokość wysyłanych kwot nie jest znana odnośnym organom państwowym i nie podlega ich kontroli.

Wystarczy! Sprobujemy teraz to przemyśleć i wysnuć odpowiednie wnioski. Może ich być tylko dwa: **wstrzymać odpływ kapitałów z kraju do Rzymu,** a w tym celu, przedewszystkiem, **ustalić wysokość „iura stolae" i jej przekazywanej zagranicę części.**

I tu dochodzimy do sedna zagadnienia! —

KONTROLA NAD „IURA STOLAE"

Należy przeprowadzić zasadę: **księdzu jako urzędnikowi cywilnemu nie wolno pobierać żadnych pieniędzy, poza określonemi przez państwo stawkami za posługi kościelne podpadające pod kategorję objętych opłatami z tytułu „iura stolae", a więc: chrzty, śluby, pogrzeby, msze i t. p.**

Wszelkie ofiary na Kościół, składane przez parafjan, jako zapłata za dodatkowe świadczenia, o czem pisaliśmy wyżej (w rozdziale: „Pytanie, jak?" winny być kontrolowane przez państwo.

W tym celu skarb wypuszcza bony o wartości np. od 5 złotych wzwyż i rozsyła je po gminach parafjalnych.

Poszczególni wierni, po ustaleniu z proboszczem wysokości opłaty za żądaną posługę, nabywają w kasie gminy za odpowiednią sumę bonów i wręczają je księdzu, który w określonym terminie wymienia je w tejże kasie na gotówkę.

W ten sposób, na podstawie specjalnego rachunku bonowego prowadzonego przez gminy, można będzie w każdej chwili ustalić całkowitą wartość dochodów z „iura stolae" dla poszczególnych parafij, zestawiwszy wpływy ze sprzedaży bonów z wpływem osiągniętym ze stawek ustawowych.

Jasnem jest, iż ksiądz, jako urzędnik stanu cywilnego, będzie przestrzegać zasady nie przyjmowania żadnych pieniędzy, poza stawkami przewidzianemi przez prawo. Czuwać będzie nad tem nietylko jego etyka kapłana, ale przedewszystkiem opinja publiczna,

(Dokończenie na str. 2-ej).

Serce z lewej, kieszeń z prawej

Czy Francja stoi przed IV Międzynarodówką?

Jeden z wybitnych publicystów polskich, znakomity znawca stosunków francuskich, poniżej tak oto streszcza swe uwagi w związku z walnem zwycięstwem lewicy we Francji.

Każdorazowe wybory we Francji, przypadające co cztery lata i stanowią bardzo dokładny rachunek sumienia zarówno większości rządowej, jak i samego rządu. Ostateczny rezultat tego rachunku sumienia nie jest jednak równoznaczny z wynikiem wyborów, ponieważ kryterju, odgrywające decydującą rolę w nastawieniu mas wyborczych podczas kampanji wyborczej mają we Francji charakter specyficzny. Dwa są właściwie kryterja, odgrywające zasadniczą rolę w całem życiu politycznem Francji: polityczne i społeczne. Nad wszystkiem jednak

góruje interes własnej kieszeni.

Francja porewolucyjna przedstawia się zgoła różnie od Francji minionych wieków. Członkowie dawnych, znamienitych rodów nie odgrywają żadnej roli, a na powierzchnię życia politycznego wydostały się najszersze masy narodu. Że zaś jedną z najbardziej cennych cnót Francji jest oszczędność, więc też cały naród doszedł do znacznej zamożności i wyników, drobnych przemysłowców, tworzył w krótkim czasie t. zw. we Francji burżuazję, czyli zamożną warstwę średnią: kupców, rzemieślfermerów i t. d. Są to oczywiście potomkowie tych, którzy podczas Wielkiej Rewolucji

stali na barykadach i zdobywali Bastylję;

tych, którzy przez cały wiek XIX-sty walczyli stale w obronie rewolucyjnych haseł: wolność, równość, braterstwo. A tych rewolucyj, w których hartowała sie wola mas, przewaliło się przez Francję niemało w ciągu całego wieku XIX-go. Ta wola mas utrwaliła się wreszcie po klęsce Sedanu, gdy Monsieur le Prince, późniejszy Napoleon III wprost z niewoli pruskiej wyjeżdżał do Anglji, a we wspaniałych salach Wersalu Bismarck tworzył nowe Cesarstwo Niemieckie. Kowalami tej ostatecznej republikańskiej woli byli Gambetta i Clemenceau. Wezwali naród do jak największych ofiar, dla rychłego spłacenia

nałożonej przez Prusaków kontrybucji

i pozbycia się znienawidzonych załóg pruskich, ale w następstwie dali Francji 50 lat pokoju i rosnącego dobrobytu.

Przez te lat 50 masy francuskie nauczyły się cenić dobra doczesne i strzegą ich zazdrośnie, co w rezultacie daje ciekawy obraz życia politycznego. Sercem większość Francuzów

pozostaje na lewicy.

Sentyment ciągnie ich sumienie politycznie na lewo, bo tam stali ich przodkowie, którzy darli się na mury Bastylji i ginęli na barykadach. Ale kieszeń przeciętnego Francuza

pozostaje po prawicy

bo prawica nie dobiera się do jego kieszeni, nie ma w swym programie ani nacjonalizacji dóbr, ani wywłaszczenia, ani kolektywizmu.

Ideałem każdego Francuza jest posiadanie jakiejś, choćby niewielkiej własności osobistej. Więc własnego handelku, zakładu rzemieślniczego, czy przemysłowego, wreszcie własnego domku z ogródkiem pod miastem, czy na dalszej prowincji. Dla osiągnięcia tego celu pracuje i oszczędza lata całe.

Więc politycznie

Francuz jest lewicowcem,

lecz społecznie sympatyzuje z prawicą. Z tej dwoistości wypływa, że Francuz jest zagorzałym antyklerykałem, lecz nie zrywa stosunków z kościołem. Został ochrzczony w kościele, uroczyście przystępował do pierwszych Sakramentów, ślub jego odbył się zarówno przed merem, jak i przed księdzem i

chętnie wysyła żonę z dziećmi do kościoła,

sam od niego stroniąc, Panu Bogu świeczkę i djabłu ogarek. Chętnie mieni się republikaninem i radykałem i niema prawie stronnictwa politycznego, które w nazwie swej nie nosiłoby tych dwuch określeń; bo nawet skrajnie prawicowe stronnictwa zwą się: Republikanie lewicy, Niezależni lewicy, Centrum Republikańskie, Lewica Radykalna — a przecież wszystkie należą do prawicy, lub centrum.

Bo serce nosi Francuz po lew ej stronie...

Trudno się przeto dziwić, że w wyborach przeciętny obywatel francuski oddaje głos na kandydata lewicowego i raduje się, gdy z wyborów wyjdzie zwycięsko lewica. Ale niech tylko w czasie swych czteroletnich rządów lewica zacznie eksperymentować na kieszeni obywateli, niech tylko spróbuje urządzić zamach na kieszeń francuską,

wnet masy odwrócą się od niej,

odmówią jej zaufania, podniosą krzyk i dobrze jest, jeśli tylko na krzyku się skończy. Przed upływem czteroletniej kadencji rządy przechodzą w ręce prawicy, a w następnych wyborach już nie lewica otrzymuje głosy większości obywateli, lecz prawica. Bo Francuz ma serce po lewej stronie, lecz kieszeń po prawej. I wara lewicy sięgać do jego kieszeni!

Ten stan rzeczy wprowadził w francuskie życie polityczne przysłowiowy już system wahadła. Regularnie co cztery lata z wyborów wychodzi zwycięsko raz lewica, raz prawica. Po rządach prawicy bezpośrednio po wojnie w roku 1924

zwycięża wysoko kartel lewicy,

który jednak nie umie opanować finansów. Po panice frankowej w lecie 1926 roku, ster rządów przechodzi w ręce członka prawicy, Raymonda Poincare, a w następnych wyborach lewica ponosi klęskę. Zwycięża znów w roku 1932, aby po wybuchu skandalu Stawiskiego i krwawych dniach z lutego 1934 podzielić się rządami z prawicą. I tak będzie stale. Jeden ze świetnych pisarzy politycznych francuskich, André Siegfried, powiedział,

że Francuz jest myśliwym, który broń swą nosi raz na lewem, raz na prawem ramieniu.

Ale jeszcze jeden ciekawy przejaw życia politycznego Francji: im dalej na południe, tem tendencje polityczne mas są bardziej radykalne, bardziej czerwone. Prawdopodobnie jest to kwestja temperamentu. Znany pisarz francuski, Maurois, zatknął się raz na południu z komitetem wyborczym radykałów, którego członkami byli sami prawicowcy i z komitetem wyborczym socjalistów, do którego znów należeli sami radykali i republikanie. Hasłem Francuzów z południa jest dewiza dla nieobznajmionego ze stosunkami — humorystyczna, mianowicie:

„toujours *à* gauche, mais pas plus loin“,

co znaczy: zawsze na lewo, lecz nie dalej. Opowiadano, mi, że kiedy młody deputowany radykalny z południa wrócił do swego okręgu po kilku miesiącach posłowania, wyborcy zapytali go:

— No, a do jakiej partji należy pan teraz?

— Jakto do jakiej? Do tej, do której zostałem przez was wybrany.

Zdziwieni wyborcy wykrzyknęli z oburzeniem:

— Co? Jeszcze do radykalnej? Nie poszedł pan bardziej na lewo?

To jest charakterystyczne.

Poza centrami przemysłowemi, lewica może liczyć na pewny wybór tylko na południu. Gdy przed siedmiu laty przywódca socjalistów francuskich,

Blum przepadł nawet w czerwonym okręgu podparyskim,

czekał cierpliwie na opróżnienie się jakiegoś okręgu południowego. I rzeczywiście w jakiś czas potem zawakował mandat z okręgu Narbonne. P. Blum stanął jako kandydat i został wybrany. Południe wybierało dawniej radykałów, obecnie wybiera socjalistów, a tylko patrzeć, kied" zacznie wybierać komunistów. Po śmierci umiarkowanego socjalisty Renaudela, Toulon wybrał deputowanym komunistą. Początek jest już więc.

Ta groteskowa bądź, co bądź sytuacja zmusiła nawet socjalistów do częściowej zmiany programu na jednym z kongresów. Mianowicie wprowadzono punkt o poszanowaniu i wyjęciu z pod nacjonalizacji mniejszej własności. Paradoks tkwił w tem, że masy wyborców z południa, właściciel posiadłości miejskich i wiejskich oddają swe głosy na kandydatów partji socjalistycznej, która

groziła im wyzuciem z mienia

po niepodzielnem objęciu rządów.

Charakter Francuza, zajętego całe życie gromadzeniem majątku stwarza, że niema on wielkich zainteresowań politycznych. Zainteresowania te wybuchają dopiero nagle w okresie kampanji wyborczej, by przycichnąć znowu po wyborach. Stąd pochodzi, że deputowani francuscy są niejako mianowanymi przez wyborców

specami od polityki i traktują posłowanie, jako zawód,

nie gorszy od innych zawodów. Dlatego to, co gdzieindziej wydaje się być niepojętem, we Francji jest objawem zupełnie naturalnym: francuscy parlamentarzyści posiadają własną kasę emerytalną, z której otrzymują pokaźne emerytury w wypadku, gdy przepadną w wyborach.

Ta specjalizacja polityków w społeczeństwie i ta świadomość systemu wahadła w życiu politycznem Francji ułatwia ogromnie zadanie kandydatom na deputowanych. W zależności od swych przekonań nowy kandydat stawia swą kandydaturę w jednym, lub drugim okresie czteroletnim,

to zwiększa jego szanse.

Młody prawicowiec nie stawia więc swej kandydatury w wyborach, z których na pewniaka wychodzi zwycięsko lewica i odwrotnie. Najszybsze jednak karjery politycznie robi się na lewicy. To już jest prawda dowiedziona. Więc ambitne jednostki

chętniej kandydują z lewicy.

Po pewnym czasie droga stoi otwarta do innych partyj, bardziej umiarkowanych. Tacy politycy, jak Aleksander Millerand, były prezydent Republiki, jak Barthou, obaj z prawicy, Briand, Laval i wielu innych, wyszli przecież z łona partji socjalistycznej.

Wszystkie te cechy charakteru Francuza, i cechy życia politycznego Francji bynajmniej nie usprawiedliwiają obaw, jakie się rodzą na wiadomość o zwycięstwach wyborczych komunistów francuskich.

Niebezpieczeństwo istnieje tylko po zorne.

Panujący kryzys i bezrobocie przerzuciły pewną liczbę głosów lewicowych na kandydatów komunistycznych. Ale ogólna zamożność obywateli i ich obawa przed utratą uciułanego majątku, stanowią tamę naturalną, której komunizm nie zdoła w żadnym wypadku przerwać. Nie zapominajmy,

że Francuz ma serce po stronie lewej, ale kieszeń po prawej.

Th.

(Dokończenie ze str. 1-ej).

odpowiednio uświadomiona co do nowych zarządzeń i ich celu.

W myśl tych samych zasad kontroli — kwoty złożone przez wiernych na tacę, mogłyby być składane bądź specjalnymi bonami opiewającymi na kwoty, począwszy od najdrobniejszych, groszowych — bądź, dla uniknięcia komplikacyj — bezpośrednio po zbiórce obliczone i odpowiednio zaksięgowane, w obecności świadków z dozoru kościelnego.

PIENIĄDZE ZOSTAJĄ W KRAJU!

Prosta kontrola ksiąg parafjalnych wykaże wówczas dokładnie kwoty, które po potrąceniu sum wydatkowanych, (na odpowiednio udokumentowane kwitami rozchody) — zostały przekazane kurji biskupiej.

W ten sam sposób przeprowadzone badanie w kurji, zobrazuje cyfrę wpłaconą do funduszu nuncjatury, a ściślej — cyfrę, która miała być tam wpłaconą, gdyż skutkiem ograniczeń dewizowych — pieniądze z kraju wywiezione być nie mogą!

DROGA DO PROSPERITY

Tą drogą skarb państwa może zdobyć kwoty starczające nie tylko na wzmożenie anemicznego obiegu waluty, ale na potężne inwestycje przemysłowe i na wielką skalę poprowadzone roboty publiczne, a tem samem będzie w stanie zatamować rosnące bezustannie kadry bezrobotnych, wreszcie uda mu się znakomicie wzmocnić potencjał obrony narodowej, o co bezustannie apeluje „Polska Zbrojna“ — organ M. S. Wojsk. i Gen. Inspektora Armji gen. Rydza-Śmigłego.

KLER I PAŃSTWO

Droga do prosperity — klucz od niej znajduje się w rękach kleru. —

Nie wyobrażamy sobie, by polski kler odmówił Polsce tego klucza!

Podobna możliwość nie mieści się chyba w głowie żadnego Polaka, zbyt ceniącego znany patrjotyzm kleru, by nie wierzyć niezłomnie, że dlań — jak dla wszystkich Polaków — Polska jest na pierwszym planie!

Argus.

Pedagog z nieprawdziwego zdarzenia

Dziwne interesy pana N.

Bardzo przykry i zasługujący na bezwzględne potępienie jest fakt, gdy osobnik posiadający wszelkie dane ku temu aby być pożytecznym dla kraju obywatelem, wkracza w labirynt gęsto usiany paragrafami kodeksu karnego.

Nie może być usprawiedliwieniem, że ktoś chciał się wziąć za ryzykowny interes. Każdy powinien sobie zdawać sprawę z tego, że niektóre „interesy" stoją na krawędzi... hochstaplerstwa.

CZŁOWIEK Z DOBREJ RODZINY

Jeszcze można tłumaczyć człowieka, którego na śliską drogę kantów pchnęła ostateczna nędza. To zrozumimy!

Ale p. Kazimierz Nawrocki, bohater niniejszego artykułu jest bratankiem powszechnie szanowanego właściciela gimnazjum, noszącego to samo imię i nazwisko. Niewątpliwie rodzice od najmłodszych lat wpajali mu zasady etyki i uczciwości. Trudno też przypuszczać by warunki materjalne wpłynęły tak deprawująco. Raczej poprostu żądza bogactwa.

DWAJ PANOWIE KAZIMIERZOWIE N.

Bratanek właściciela gimnazjum, korzystając z identyczności nazwisk postanowił zdyskontować kredyt zaufania, jaki u społeczeństwa wyrobił sobie długoletnią działalnością pedagogiczną senjor Nawrocki.

Pewnego dnia na słupach ogłoszeniowych pojawiły się afisze zawiadamiające o otwarciu przy ul. Zielnej 19 kursów rolniczo - handlowych. Przy kursach miała być prowadzona koncesjonowana prywatna szkoła powszechna. Kierownikiem obydwu imprez był p. Kazimierz Nawrocki, junior. Jednak nie-wtajemniczeni kojarzyli te uczelnie z istniejącem od wielu lat gimnazjum p. Nawrockiego, senjora. Temu też należy przypisać powodzenie jakiem się cieszyła szkoła powszechna...

DZIWNA SZKOŁA

Nawet nie zrażało nikogo to, że lekcje prowadzone były systemem zabardzo domowym. Częsty brak wykładowców wpływał na ciągłe zmiany programu zajęć. Czasami, powiedzmy w czasie lekcji matematyki, dyrektor zastępując nieobecnego, a właściwie jeszcze niezaangażowanego wykładowcę, opowiadał o... swej ostatniej wycieczce zagranicę. W rezultacie, zamiast reguły trzech, dzieci dowiadywały się, że „Paryż to ładne miasto".

ATMOSFERA AFERKI

Jeszcze gorzej działo się na kursach. Tu od pierwszych dni panowała atmosfera aferki. Co drugi, trzeci wykład zmieniali się nauczyciele. Programowe pięć godzin zajęć szkolnych zredukowano o dwie. Wkońcu postanowiono pierwszy semestr kursów, na który uczęszczali uczniowie nawet z 6-cio klasowem wykształceniem połączyć z siódmym oddziałem szkoły powszechnej.

Lecz do tego nie doszło.

NIEMA SZKOŁY, DZIATECZKI!

Bo oto pewnego dnia uczniowie zastali drzwi szkolne zamknięte na cztery spusty. Nie pomogły dobijania się. Woźny szkoły miast urzędować, także tarabanił do drzwi przeklinając dyrektora, na którego ręce złożył kilkaset złotych kaucji.

NIEZMORDOWANY „BUSSINESMAN"

A tymczasem pan Kazimierz Nawrocki, nie interesujący się losem swych wychowanków realizował drugą aferę pod firmą „Spółdzielnia rolniczo-handlowa", przy ul. Marszałkowskiej 33.

I tu przyjęto szereg pracowników, oczywiście z odpowiedniemi kaucjami. A ponieważ pracownicy wpłacając kaucję spełniali swe zadanie, więc po kilkodniowej egzystencji... zamknięto przedsiębiorstwo.

STRYJEK PŁACI...

Poszkodowani nie mogąc wpaść na trop nieuczciwego przesiębiorcy zwrócili się do dyrektora gimnazjum. Aferę zatuszowano. Straty częściowo zostały pokryte.

Podobno obecnie młodszy p. Kazimierz Nawrocki nosi się z zamiarem założenia nowego interesu. Może te słowa będą dlań przysłowiowym kubłem zimnej wody, chroniącym go przed kryminałem. Oby tak było, życzymy tego panu szczerze, młody a lekkomyślny człowieku! **Wis.**

„Polacy" z kina Filharmonja

Szumne zapowiedzi, szara rzeczywistość

Kino Filharmonja nie cieszy się sympatją wśród t. zw. branży filmowej. Nic zresztą dziwnego, skoro wprowadziło wprost rewolucyjne na nasze stosunki metody pracy, między innemi paragraf aryjski. Nie będziemy z tego powodu załamywać rąk, bo naprawdę nic w tem złego niema. Ale sprawa kina Filharmonja interesuje nas z zupełnie innej strony, albowiem okazuje się, że dyrekcja tego pięknego przybytku Dziesiątej Muzy, **nie dotrzymuje swoich szumnych obietnic,** a w niektórych wypadkach dopuszcza się nawet wystąpień zupełnie karygodnych i rzucających jaknajgorsze światło na kulturę panów właścicieli.

Gdy nowa dyrekcja objęła „Filharmonję" ogłosiła wszem wobec, że będzie to jedyne (obok „Romy" rzecz jasna) kino chrześcijańskie i polskie w stolicy. Bardzo pięknie! Ale wobec tego chcielibyśmy wiedzieć, jakie jest stanowisko w tem „polskiem" kinie **niejakiej panny Eryki Berge,** córki niejakiego doktora Berge, który znany jest w sferach rządowych, jako... niemiecki szpieg handlowy??!

Teraz dalej. Przy powstaniu nowego kina i t. zw. syndykatu filmowego, ogłoszono, że będzie to placówka sprowadzająca i wyświetlająca wyłącznie filmy europejskie, jako to: francuskie, niemieckie i angielskie. Tymczasem od czasu objęcia władzy przez pana Pawła Przyklęk - Frankowskiego (który notabene prawdopodobnie znacznie lepiej zna się na dostawach bydła, ni na filmie) kino Filharmonja wyświetla wyłącznie filmy niemieckie i to, **niestety, gorszego autoramentu.** Widocznie więc „branża" ma rację. Kino Filharmonja nie jest kinem polskiem, ale niemieckiem!

Panowie Frankowski et consortes pragną zrewolucjonizować branżę filmową. Bardzo pięknie. Bylibyśmy im zato wdzięczni, gdyby się jednak do tego zabrali w sposób inteligentniejszy. Przecież przeciwko chamstwu nie można walczyć głupotą. Niepoczytalny wybryk dyrekcji kina Filharmonja w **sprawie najlepszego z polskich filmów krótkometrażowych,** który w całej niemal Europie zyskał pełne uznanie, wydaje panom z Filharmonji kiepskie świadectwo o ich mentalności. Ale trudno, na to niema już rady.

Natomiast znalazłaby się rada na inne niedopuszczalne wystąpienia tej samej „wesołej bandy". Właściciele Filharmonji, towarzystwo „Filmwog", które przemianowało się ostatnio na „Falę" (bardziej polska nazwa!) wydaje rodzaj komunikatu prasowego, w którym różni dziennikarze z nieprawdziwego zdarzenia wypisują brednie trudne do opisania. Między innemi ktoś tam pisze recenzje filmowe! Recenzje filmowe w organie kina. Wystarczy te recenzje raz przeczytać, aby się przekonać, że ta gałąź **działalności pana Frankowskiego** wkracza już w dziedzinę nielojalnej konkurencji.

Ponieważ, jak przekonaliśmy się, biuletyn prasowy pana Frankowskiego (nazywa się Kompas) czerpie **od czasu do czasu wiadomości od nas,** proponujemy mu, aby i tym razem skorzystał z tego i przedrukował niniejszy artykuł. **(k).**

Sprawdziły się

nasze obawy!

W jednym z poprzednich numerów „Wiem Wszystko" zwracaliśmy uwagę w artykule, zatytułowanym: Zapowietrzony trójkąt Warszawy" na niestosowność tolerowania w reprezentacyjnej dzielnicy miasta wędzarni J. Jabłońskiego, zatruwającej swoimi wyziewami wszystkie okoliczne domy i podwórza, a także stanowiącej niebezpieczeństwo dla mieszkańców przylegających do niej budynków.

Wędzarnia ta, obsługująca, znany, pod popularną nazwą „knajpki pod ryjkiem" pokój śniadankowy i wędliniarnię pod firmą „Józef Jabłoński, dawniej Herbst" naraża niezliczone przykrości i niewygody swych sąsiadów. To też, gdy sprawę tę poruszyliśmy w „Wiem Wszystko", otrzymaliśmy po kilka telefonów dziennie od osób zainteresowanych, które dziękowały nam za wzięcie ich w opiekę i do postawionych przez nas zarzutów dorzucały nowe skargi i narzekania.

Ale słuchając tych żalów i wypowiadając nasze obawy na przyszłość, nie przypuszczaliśmy sami, że sprawdzą się one tak rychło, i że smutna rzeczywistość potwierdzi je w całej rozciągłości.

Przykre sąsiedztwo z dokuczliwą wędzarnią najbardziej daje się we znaki lokatorom oficyny domu przy ul. Koszykowej 35. Przylegająca do ich mieszkań ściana wędzarni i przechodzący przez nią komin daje im bezpłatne ogrzewanie w zimie, z nawiązką dymu i sadzy, stale bowiem nagrzewana, ściana pęka i przez szczeliny przedostają się do wszystkich lokali wydzieliny czadu.

Ostatnio w kominie wędzarni zapaliły się sadze, a pod wpływem ognia rozpadliny w ścianach rozszerzyły się tak znacznie, że w lokalu Nr. 38 na czwartem piętrze przedostawały się kłęby dymu i ognia.

Pożar stłumił III oddział Straży Ogniowej, a p. Jabłoński polecił na własny koszt reparować ścianę, pościągać ją t. zw. klamrami i zalepić gipsem.

Ale całe to „smarowanie powierzchni" nie zda się na nic. Pod klamrami ściana się nie zrośnie, a gips, ogrzewany stale, rozkruszy się i odpadnie. A lokatorzy nieszczęsnej oficyny duszą się w swych mieszkaniach zamienionych na wędzarnię i z obawy przed zaczadzeniem uciekają ze swych domów, sypiając u swych krewnych lub znajomych.

Jedynem więc radykalnem załatwieniem sprawy byłoby usunięcie wędzarni i całego warsztatu p. Jabłońskiej ze śródmieścia gdzieś na krańce miasta, jak to już zaznaczyliśmy, pisząc o tem poprzednio.

Tem bardziej, iż poza lokatorami, bezpośredni sąsiadującymi z wędzarnią i najbardziej zagrożonymi przez nią, pomyśleć należało i o tem, że zapowietrza ona i zabrudza całą okolicę, i stała się źródłem ciągłej udręki dla całej rzeszy ludzi, którzy płacą wysokie komorne za to, że chcą mieszkać w kulturalnej, czystej dzielnicy śródmieścia.

(g).

„JANKO Z ŁOWICZA"

Potentat amerykańskich biur filmowych

Prócz smutnej pamięci Łowicza, prócz Joniłowicza (zdolnego zresztą operatora, który przedstawiając się skanduje wyraźnie Ja— nie — Łowicz) istnieje jeszcze w branży typ nazwiskiem Jankołowicz o wschodniem imieniu Borys. Mówi ów człeczyna słabo po polsku, woli się posługiwać rosyjskim, co wskazywałoby, iż jest t. zw. „litwakiem".

Rozbrajające i komiczne zarazem jest jego twierdzenie, iż jest polakiem, **a jego przodek (autentyczne!) nosił dźwięczne i wdzięczne miano Janka z Łowicza.**

Otóż ów Janko z Łowicza, czy jak wolicie, Jankołowicz jest dyrektorem na Polskę biura wynajmu wytwórni „Warner Bros". Jeszcze przed kilku laty **obrazy tej wytwórni były zakazane do wyświetlania na terenie Polski** przez Min. Spraw Wewnętrznych. Powód był słuszny i zrozumiały dla każdego obywatela narodowości polskiej. Wytwórnia „Warner Bros "**wyprodukowała film gangsterski, dając bohaterom nazwiska Pułaski i Kościuszko.**

Po paru latach dobroduszne i wybaczające Min. Spr. Wewn. pozwoliło na otwarcie biura wynajmu i obrazy „Warner Bros" zaczęły ukazywać się na ekranach kin polskich. Jedynie wysoki poziom artystyczny mógłby tłomaczyć fakt wprowadzenia na ekran obrazów tej wytwórni.

Jednakże tak nie było.

Przeciwnie — filmy braci Warner ukazywały nam najbardziej charakterystyczny banał amerykański. Bezmózgie i bezduszne szmiry rewjowe miały nas olśnić, a tylko nudziły.

„Potomek Janka z Łowicza" również nie poczynał sobie na nowym terenie zgodnie z etyką, wymaganiami czynników miarodajnych i publiczności.

Może przy ostatnich posunięciach walutowych Rządu nie ujrzymy już więcej obrazów braci Warner? Nie będzie to wielka strata.

(g)

RADOSNA TWÓRCZOŚĆ

»Mistrza« Waszyńskiego

Wszyscy znają w Polsce genjalnego reżysera filmowego Michała Waszyńskiego, groźnego rywala Cecila B. de Mille'a, Ernesta Lubitscha i Kinga Vidora. „Misza" jest naprawdę wielki, ale tylko wzrostem i tuszą. Co do talentu — szkoda gadać! Wystarczy obejrzeć jego arcydzieła.

Karjera jego zaczęła się dość dziwnie. Najpierw był chłopcem na posyłki czy czemś w tym rodzaju, podobno nawet w Berlinie, potem został asystentem wszystkich pokoleń polskich reżyserów. Oczywiście genjusz jego prędko rozkwitł i prześcignął wówczas wszystkich swoich mistrzów. Pierwszem jego arcydziełem był film, popularnie znany pod tytułem „Pod banderą miłości". Od tej chwili Misza był lansowany. Posypały się zamówienia, bo przecież Waszyński robi wszystko szybko i tanio. A jak? O to mniejsza, aby było tanio! Posypały się na nieszczęście na polskie ekrany arcydzieła jedne za drugiemi, coraz piękniejsze, coraz mądrzejsze i genjalniejsze. Mistrz specjalizował się zwłaszcza w scenach erotycznych, co jest jeszcze jednym dowodem... ironji losu.

Do najbardziej udałych kreacyj mistrza należą takie filmy, jak: „Uwiedziona", „Parada Rezerwistów", czy też ostatnio „Bohaterowie Sybiru". We wszystkich tych obrazach można poznać „lwi pazur" reżysera, nie mówiąc już o przepięknych filmach z Dymszą.

Ostatnio nastała na Waszyńskiego zła passa. Producenci poznali się już nareszcie na tem, że nie wystarczy być „piekarzem", trzeba jeszcze być reżyserem. Przestali więc już powierzać mu robotę filmu. Wierni pozostali mu tylko dwaj czołowi „producenci" naszego filmu: Rosen i Bodo. Dla nich kochany „Misza" jest jeszcze dobry, bo wymagania ich nie sięgają widocznie wyżej poziomu sympatycznej „Zarzyckiej polskiego filmu".

Miejmy nadzieję, że wkrótce już nadejdzie kres szkodliwej działalności tego największego szkodnika sztuki filmowej w Polsce. **(k.)**

Truciciele polskiej emigracji

Do kartoteki »Ogniska« dołączamy »Wiarusa«

W poprzednim numerze WIEM WSZYSTKO zajęliśmy się szczegółowiej rolą na emigracji we Francji paryskiego OGNISKA, pisma, które w nagłówku nosi pompatyczną dewizę: **„Uczciwe pismo dla uczciwych ludzi“**, a którego istnienie jest jednym ciągłym skandalem.

A kiedy już jesteśmy przy tym temacie, nie od rzeczy będzie zająć się drugim dziennikiem polskim we Francji, którego nazwa brzmi „Wiarus Polski“, a którego linja istnienia wije się tak połamanemi zygzakami, że czasem doprawdy niewiadomo czy to pismo polskie, czy antypolskie.

Nie mamy zamiaru zaprzeczać, że zarówno WIARUS POLSKI jak i jego założyciel, ś. p. Jan Brejski, położyli ongiś wielkie zasługi około sprawy polskiej. Było to w Westfalji, gdzie tysiące polskich chłopów z Pozańskiego i Pomorza, wypędzonych z własnej ziemi bezwzględną polityką kolonizacyjną junkierskich rządów pruskich i Hakaty

wędrowało za chlebem do zachodnio-niemieckich kopalń węgla,

w Westfalji i Nadrenji. Za te zasługi założyciel WIARUSA POLSKIEGO, zmarły przed dwoma laty Jan Brejski powołany został przez Państwo Polskie na wiceministra ziem byłego zaboru pruskiego w samem zaraniu niepodległości, a następnie na wojewodę pomorskiego. Podkreślamy te zasługi bezstronnie, a nawet z dużą satysfakcją. Niech nam jednak wolno będzie także równie bezstronnie zająć się działalnością WIARUSA POLSKIEGO na terenie Francji, z okresu po jego drugiej przeprowadzce.

ZMIANA WŁAŚCICIELI

Jednym właścicielem WIARUSA POLSKIEGO na terenie Westfalji był Jan Brejski, działacz polityczny wytrawny i zasłużony,

poseł do niemieckiego Reichstagu

z Pomorza. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości i powołaniu Jana Brejskiego do Polski, jeden z jego zięciów (miał ich trzech—wszystkich nieudanych) sprzedał maszyny drukarskie, a tytuł przeniósł z Bochum do Poznania. Ponieważ wraz z Janem Brejskim wrócił do kraju cały szereg działaczy polskich z Westfalji, zabrali się na terenie Poznańskiego raźno do pracy i wkrótce nadawali ton całej robocie

Narodowej Partji Robotniczej (N.P.R.)

w tamtejszej dzielnicy. Ponieważ organem ich w Niemczech był WIARUS POLSKI, odkupili go od Jana Brejskiego i uczynili centralnym organem N. P. R.-u w Poznańskiem. Aliści w r. 1924 powstał we Francji po dłuższej pracy przygotowawczej znany dziś chlubnie Związek Robotników Polskich, którego głównymi promotorami stali się dawni działacze z pośród górników polskich, przybyłych podczas okupacji Ruhry z Niemiec. Wielu z nich pochodziło z pod znaku WIARUSA, mniej z pod znaku innego pisma emigracyjnego z Westfalji obecnie również we Francji, NARODOWCA. Kierownictwa poznańskiego N. P. R.-u postanowiło związać z sobą Związek Robotników Polskich, na którego czele stał wówczas

smutnej pamięci Dolata,

wyrzucony następnie za łapownictwo. Delegaci z Poznania w osobach ówczesnych posłów Hertza i Mańkowskiego podpisali przeto z prezesem Dolatą tajny układ, na mocy którego Związek Robotników Polskich we Francji miał się stać ekspozyturą Narodowej Partji Robotniczej na terenie Francji, w zamian za co otrzymał jako swój organ „WIARUSA POLSKIEGO“

którego 35% udziałów

zatrzymało sobie Zawodowe Zjednoczenie Polskie (związek zawodowy enperowski). Na miejsce oddanego do Francji tutułu WIARUSA POLSKIEGO, założono w Poznaniu WIARUSA WIELKOPOLSKIEGO, który jednak niedługo się utrzymał.

ZAWIELU WŁAŚCICIELI

Jak z tego wynika, właściwym pełnoprawnym właścicielem WIARUSA POLSKIEGO był Związek Robotników Polskich we Francji, który miał posiadać 51% udziałów. Zawodowe Zjednoczenie Polskie w Poznaniu partycypowało w 35%, redaktorzy i administrator pisma otrzymali po 2% udziału, reszta miała być rozsprzedana, aczkolwiek do kupna nikt się nie kwapił, gdyż mimo usilnej propagandy zdołano sprzedać tylko jeden,

dosłownie j e d e n udział.

Tem lepiej, gdyż przez to Związek Robotników Polskich we Francji stawał się decydującym panem wydawnictwa.

Tymczasem za prezesury Dolaty w Związku, działy się tak przedziwne machlojki, takie perypetje przechodziło pismo z obsadą redaktorów i administratora, że już wszystkim nienawykłym do takiego galimatiasu bokiem to zaczęło wychodzić. Dodać jeszcze trzeba, że Jan Breski za uzyskane ze sprzedaży WIARUSA POLSKIEGO pieniądze nabył akcje Banku Zjednoczenia, instytucji finansowej enpeerowskiej w Poznaniu, a gdy spostrzegł, że Bank ten niema wielkiej przyszłości,

sprzedał akcje za 12,000 dolarów

późniejszemu wojewodzie pomorskiemu, d-rowi Janowi Wachowiakowi.

ZA MISKĘ SOCZEWICY

Redaktorem naczelnym WIARUSA POLSKIEGO był Stanisław Lenartowicz, znany w Polsce turysta. Administratorem zaś Władysław Starosta, współpracownik administracji WIARUSA jeszcze z czasów westfalskich. Jan Brejski korzystając z zamieszania w obozie wiarusowym na terenie Francji i uważając się za wykwitowanego z pisma, wysłał wpierw do Lille (Wiarus Polski wychodzi po dziś dzień w Lille, stolicy Flandrji francuskiej) jednego ze swych zięciów. Ten Jan Chrzciciel

miał wyprostować ścieżki swemu teściowi

I rzeczywiście pewnego dnia zjawił się w Lille sam Jan Brejski. Był to krępy, czerstwy staruszek o długiej patrjarchalniejszej siwej brodzie. Dla redaktora i administratora stanowił ten zasłużony działacz niełada autorytet. A gdy autorytet zaprosił ich jeszcze na smakowity objad, podlany obficie znakomitem francuskim winem, obaj władcy WIARUSA udali się do biura Rejestru Handlowego przy Sądzie w Lille i oświadczyli, że

Jan Brejski jest jedynym prawnym właścicielem pisma.

Oświadczenie to zaprotokółowano i wpisano do ksiąg rejestru nowego właściciela, Jana Brejskiego. Nowy właściciel wyjechał natychmiast po tej operacji do Polski, skąd telegraficznie zwolnił ze stanowiska naczelnego redaktora Lenartowicza. Administratora Starostę, jako człowieka ubogiego duchem, a zatem mniej niebezpiecznego pozostawił jeszcze do pewnego czasu na zajmowanem przez niego stanowisku. W ten sposób WIARUS POLSKI wrócił do swego dawnego właściciela. Było to pociągnięcie prawdziwie mistrzowskie, bo i dolary w kieszeni pozostały (dopóki ich stamtąd zięciowie nie wydostali) i

WIARUS znowu stał się własnością Jana Brejskiego.

Aż dziwne, że Związek Robotników Polskich we Francji przyjął fakt wydarcia mu jego bezspornej własności z zupełną obojętnością. Dlatego, że wobec ciągłych intryg różnych „działaczy“, z których każdy chciał mieć prawo kontroli nad Wiarusem i żądał drukowania swoich odezw „do narodu“, Związek miał z Wiarusem tyle kłopotu, iż narazie zadowolony był, że sie go pozbył...

PAN STAROSTA Z KRESÓW

Nie będziemy opisywać rodzinnych perypetyj, przez jakie WIARUS POLSKI przechodził w następstwie. Faktem jest, że po pewnym czasie wyleciał z WIARUSA także jego administrator, z niemałym hałasem i założył własne pismo, istniejący do dziś „Głos Wychodźcy“. Zajmiemy się natomiast osobą naczelnego redaktora Wiarusa,

niejakiego Władysława Budzyńskiego.

Czy prawdą jest, że był ongiś feldfeblem (sierżantem) austrjackim, tego nie udało nam się stwierdzić. Wiadomo nam natomiast, że wskutek rozmaitych machlojek i przy odpowiedniem poparciu Budzyński otrzymał podczas wojny polsko - bolszewickiej odpowiedzialne stanowisko starosty jednego z powiatów kresowych pod zarządem Cywilnego Zarządu Ziem Wschodnich. Na tem stanowisku Budzyński dał się wkrótce poznać,

jako pierwszorzędny łapownik

i po pewnym czasie został ze swego starostowania usunięty.

REDAKTOR - SZANTAŻYSTA

Wówczas osiadł w Piotrkowie Trybunalskim i rozpoczął tam wydawanie tygodniowego organu, ohydnej szmaty, która stanowiła jednak świetne źródło dochodów dla człowieka bez skrupułów. Co tygodnia pismo przynosiło oszczerstwa i paszkwile na miejscowe autorytety i na okolicznych obywateli, a zaczepieni dawali się przez czas pewien teroryzować i opłacali się sowicie drabowi, aby ich nie zaczepił po raz drugi, Kampanja bowiem prowadzona była przez Budzyńskiego konsekwentnie aż do skutku, to jest aż do opłacenia się ofiary. Wreszcie szantażysta trafił na jednego odważniejszego,

który oddał sprawę do sądu,

a za jego przykładem i inni. Posypały się kondemnatki, a gdy przyszedł termin odsiedzenia kary, drab splunął w swe bagienko i czmychnął zagranicę.

POLSKI GRANDZIARZ NA RIWIERZE

Budzyński wszedł na śliską drogę łapownictwa i szantażu, gdyż chorował na granda. To też, wyruszywszy z Polski, nie oparł się, aż na francuskiej Riwierze, gdzie mógł obcować z prawdziwymi grandami. Ale zasoby, pochodzące z szantażu, wyczerpały się szybko i Budzyński zjechał do Paryża, gdzie dla takich niebieskich ptaków otwierało się szerokie pole działalności. Spotkał tam rzeczywiście jednego z

wyższych urzędników Ambasady Polskiej

który — niestety — znał Budzyńskiego, ale nie znał jego niechlubnej działalności i powodów ucieczki z Polski. Radca poparł szantażystę w dyrekcji Oddziału Paryskiego Banku Związku Spółek Zarobkowych, a ponieważ w tym właśnie czasie Sejm uchwalił zwrot emigrantom polskim sum, które stracili w skrachowanych bankach: w Banku dla Handlu i Przemysłu i w Banku Zjednoczonym, dyrektor Au przydzielił Budzyńskiego

w charakterze... kasjera

do ekspozytury, która z ramienia rządu polskiego wypłacała owe zwroty polskim emigrantom.

WILK W OWCZARNI

Budzyński, łapownik i sztażysta w kasie! To jak wilk w owczarni. I rzeczywiście. Okazało się dopiero później, że umyślnie robił emigrantom wszelkie trudności,

aby ci mu się opłacali.

A specjalnie żerował na tych, których wypłaty były wątpliwe. Budzyński zdołał wnet omotać woźnego Nowaka, który wskazanym przez Budzyńskiego klijentom wręczał karteczki, naznaczając im spotkania w pobliskiej kawiarni, gdzie przychodził Budzyński i dopiero zaczynało się klijentów straszyć, że wypłata jest wątpliwa, a... Pieniążki znów płynęły do kieszeni grandziarza. Aż trafił na sprytniejszego od siebie. Okazał się nim

rzeźnik Saj,

który starał się o zwrot swych 40 tysięcy franków. Budzyński zażądał od niego nie mniej, jak 10 tysięcy. Saj pozornie się zgodził, ale nawiązał korespondencję, aby mieć dowód w ręce. A gdy miał już dwa listy kompromitujące Budzyńskiego, jakkolwiek pisane w jego imieniu przez woźnego Nowaka, przedłożył je dyrektorowi Banku, który

z miejsca wyrzucił i Budzyńskiego i Nowaka.

I tylko swemu protektorowi zawdzięczał Budzyński, że sprawa nie została skierowana do prokuratora.

ZNOWU W ROLI REDAKTORA

Przez czas jakiś Budzyński spożywał w Paryżu owoce zdobyte w Banku. Gdy zasoby zaczęły się wyczerpywać zasiadł przy stoliku, napisał artykuł i posłał tę próbkę swego talentu do redakcji jednego z pism polskich na emigracji. Odpowiedziano mu odmownie, acz uprzejmie. Niezrażony, uczynił to samo z drugiem pismem i z trzeciem i wreszcie udało się. Na zastawioną wędkę

dał się złapać Jan Brejski

i przyjął Budzyńskiego do Wiarusa Polskiego w charakterze redaktora. Z początku próbował odgrywać pewną rolę na emigracji i nadawać ton. Ale gdy tu i tam pokazano mu placy, gdy wyrzucono go ze Związku Byłych Wojskowych — dał za wygraną i przycichł. Po śmierci Jana Brejskiego został naczelnym redaktorem WIARUSA POLSKIEGO. Nie sądzimy aby w tym charakterze był „right man of right place“.

Oko.

BAGIENKO FILMOWE

„Hela, jutro niedziela"!

Jak powstaje polski film

Był sobie sympatyczny Jasio, spełniający odpowiedzialną funkcję... szatniarza w kawiarni, która była terenem zebrań licznych przedstawicieli naszej branży filmowej.

Przez szereg lat, odbierał Jasio od pp. „producentów", „reżyserów", „scenarzystów" czy „redaktorów" palta, kapelusze, teczki bądź laski, aby za kwandrans czy godzinę przedmioty te zwracać im za 20 czy 30 gr., a czasami tylko za dobre słowo...

Aż znudziło się takie życie Jasiowi. Któregoś dnia, kiedy to miał „wychodne" z pracy, odświętnie odziany poczekał

aż z kawiarni wyjdzie „redaktor"

jednego z najpoczytniejszych „organów" branżowych i kłaniając mu się grzecznie, powiedział:

— Ja mam do pana redaktora maleńki interesik.

— Cóż takiego, kochany Jasiu?— zainteresował się łaskawie szatniarzem „redaktor".

— Bo to widzi pan redaktor, ja już niechcę dłużej pracować w szatni, — zaczął niepewnie Jasio.

— No, u mnie w redakcji woźnego narazie niepotrzebuję, — pośpiesznie ubezpieczał się „redaktor".

Jasio uśmiechnął się z pobłażliwością właściwą biedakom, którzy ściskają w kieszeni los, na który właśnie padł miljon.

— Ja chcę co innego, panie redaktorze. Ja przystępuję

do produkcji filmu i chciałbym, żeby p. redaktor umieścił w swoim piśmie ogłoszenie mego obrazu.

Redaktor, od czasu gdy na swe stanowisko zaawansował zza lady sklepu z konfekcją męską, niczemu nie dziwił się.

— Proszę, proszę. A dukaty pan Jan ma?

— Na zaliczkę znajdzie się, panie redaktorze.

— No to proszę mi przygotować tekst.

Początek był zrobiony.

Następnego dnia, p. Jan, bo inaczej teraz nie wypada go nazywać, spotkał się w kawiarni ze znanym autorem scenarjuszy, a zarazem reżyserem, kompozytorem i wogóle. Dał mu sto złotych, drugie sto pokazał zdaleka i... mistrz,

na serwetkach bibułkowych napisał błyskawicznie „dreebuch"

p. t. „Hela, jutro niedziela", na dzień następny obiecał skomponować piosenki, a za tydzień można było przystąpić do produkcji „najweselszej polskiej komedji muzycznej ostatniej doby" o wiele mówiącym tytule: „Hela, jutro niedziela".

Interes z reżyserem - scenarzystą został ubity o godzinie 2-ej w południe. O godzinie 2-ej w nocy p. Jan niby przypadkiem „zawieruszył się" do knajpy, którą odwiedzali zwykle aktorzy i wytrąbiwszy z takowymi po kilka kieliszków,

co bardziej znanych „zaangażował"

do filmu „Hela, jutro niedziela". Aktorzy byli w pijanym zwidzie, p. Jan szczodrze wydawał 20-złotowe zaliczki, dlaczego więc mieliby się namyślać?

W rezultacie, po paru dniach w branżowym „organie" ukazało się pełnokolumnowe ogłoszenie wytwórni „Janota - films", która zwracała się do właścicieli kin w całej Polsce z zapytaniem

czy zakontraktowali już

„rewelacyjną, najweselszą komedję muzyczną polskiej produkcji" p. t. „Hela, jutro niedziela", napisana według scenarjusza Krzysztofa Bibłji; realizacja: Krzysztof Bibłja, muzyka: J. D'Appelsino,

rekordowa obsada:

i tu następował długi korowód nazwisk najznakomitszych asów Sceny Polskiej.

Mając takie ogłoszenie w branżowym „organie" p. Jan, obecnie już dyrektor wytwórni „Janota - films", rozpoczął drugi etap swej działalności. Przedewszystkiem, ponieważ zamieszkiwał przy ul. Obozowej, która w żadnym razie nie nadawała się na siedzibę biura wielkiej wytwórni, więc...

za 45 złotych wynajął na Wspólnej pokoik

z używalnością telefonu, a drzwi do tego pokoiku ozdobił efektownym szyldem firmowym.

Dalej, dyrektor Jan zaczął wędrówkę po kinach, początkowo warszawskich, następnie prowincjonalnych, gdzie legitymując się „rewelacyjnym" scenarjuszem, „rewelacyjną" obsadą i niezawodną reżyserją,

inkasował z niezwykłym talentem zaliczki

na film, którego jeszcze... nie było.

Ponieważ kiniarze już do krezusów nie należą, więc oczywiście gotówką dyr. Jan otrzymywał bardzo mało, zato weksle napływały dość szerokim strumieniem. Z wekslami temi p. dyrektor „fatygował" się do Lardellego, gdzie mu dyskontowano akcepty różnych kiniarzy z Suwałk, Gniezna, czy Sanoka mniej więcej w takim stosunku:

za 2.000 zł. — 1,200 zł.

W ten sposób p. Jan zdobył kilkadziesiąt tysięcy złotych i... jeśli był człowiekiem o tyle o ile uczciwym, z pieniędzmi temi dał drapaka do... Angoli. W przeciwnym razie zarówno widza, jak i kiniarzy unieszczęśliwił jeszcze jednym filmem polskim.

✶

Fantastyczna groteska?

Uchowaj Boże. Najprawdziwsza prawda. Wedle powyższej „recepty" **98% członków istniejącego od lat legalnie Związku Producentów Filmowych „produkuje" polskie filmy.**

Niema w chwili obecnej w naszym kraju drugiej gałęzi przemysłu, gdzieby można było w podobny sposób robić interesy, a nigdzie w świecie nie znajdziemy najbardziej lekkomyślnych bussinesmanów, którzyby opierając się na takich podstawach przystępowali do jakiejkolwiek produkcji.

Od pierwszego numeru, WIEM WSZYSTKO poświęca bardzo wiele miejsca sprawom filmu polskiego. Całkowicie niezależni, nie skrępowani potężnym kagańcem reklamowym, bezlitośnie i bezkompromisowo wykazujemy czarne na białem koszmarne grzęzawisko, w jakie tak potężny,

tak bardzo ważny dla każdego współczesnego państwa przemysł,

został wepchnięty przez szajkę kombinatorów, jeśli nie wręcz aferzystów.

Produkcja filmowa. Wszakże w samem określeniu „produkcja" kryje się obraz jakiejś konkretnej pracy,

jakichś konkretnych wartości.

Istotnie, ale to wszystko nie dotyczy produkcji filmów w Polsce.

Zajmują się tem u nas ludzie, w najmniejszym stopniu nietylko z filmem niezwiązani, ale absolutnie niepowołani. Pierwsze lepsze, ciemne indywiduum, które dotychczas handlowało powiedzmy zrzynkami korkowemi, któregoś dnia, podobnie jak nasz urojony szatniarz Jasio, zaczyna produkować filmy, sprzedając je oczywiście na pniu kiniarzom t. j. właścicielom kin w Warszawie i na prowincji.

Przy tranzakcjach tych, „producent", którego kapitał zakładowy sprowadza się do cyfry 300 czy 400 zł., oczywiście

niemoże wykazać się niczem,

poza najczęściej fikcyjną listą artystów, którzy w filmie jego będą grali, no i mniej lub więcej zagmatwanym scenarjuszem.

Zapytasz Czytelniku, dlaczego wobec tego właściciel kina godzi się na kupno nieistniejącego filmu polskiego? Bardzo proste, film polskiej produkcji zapewnia mu

znacznie niższą stopę podatkową,

a to, zwłaszcza w dzisiejszych czasach jest już bardzo wiele. Zresztą, z produkcją zagraniczną, sytuacja nie przedstawia się o wiele lepiej, o czem napiszemy w jednym z najbliższych numerów.

Z tych właśnie zaliczek kiniarzy na wynajem polskiego filmu, producent dopiero zaczyna ewentualnie „produkować". Zaliczki te pozwalają nowym „producentom" wpłacić wpisowe i pierwszą składkę członkowską do Związku, no i robić odpowiednią reklamę w branżowym „organie". Nie trzeba tłumaczyć, że reklama ta zmierza tylko i wyłącznie do jednego:

do wyłudzenia nowych kwot od naiwnych.

Niemamy najmniejszych złudzeń, co do tego, jak nasze rewelacje, dotychczas ściśle maskowane przed oczyma szerszej publiczności, nawet przez pozornie z branżą niezwiązane organy prasy filmowej, zostaną przyjęte. Aby jednak kochanym branżystom oszczędzić kłopotów i śmiesznych gróźb pod naszym adresem, pytamy z miejsca:

jakiemi podstawami materjalnemi mogą wykazać się chociażby następujące, pozornie najpoważniejsze polskie wytwórnie filmowe:

„Imago - Vox", wytwórnia, której „dziełem" między in. jest „Straszny Dwór", wytwórnia „Quadra'. która raz już wyłudziła od kiniarzy zaliczki na sienkiewiczowską „Hanię", a zrobiła zamiast tego idjotyczną brechtę „Niemiała baba kłopotu". Obecnie „Quadra" zmieniła nazwę na „Optima" i ponownie zbiera zaliczki na... „Hanię". Jaką gotówką dysponuje p. Józef Rosen, nadworny producent filmów z Dymszą, który to aktor jest magnesem, na który p. Rosen wychwytuje zaliczki, przeciętnie sięgające zawrotnej jak na nasze stosunki sumy... 200.000 zł. rocznie? A pozornie zasobny „Blok" podblokowany ongiś piekarnianą gotówką p. Sommeno, a p. Fenigsztajn, a Arte-Film? A taki np. kierownik znanej firmy meblarskiej Załęski, która bodajże miała czy ma ogłoszoną upadłość, a wspomniany pan zaczyna... produkcję filmową od arcydzieła p. t. „Ferdek uszczęśliwia świat"?

Wierzyć się niechce, a przecież, niestety, tak jest. Żyjemy w dziwnym kraju, w jakimś zakątku wysnutym z fantazji Wellsa, gdzie pieniądz dosłownie podnosi się z ulicy, gdzie

tranzakcje idące w setki tysięcy nie są niczem gwarantowane,

a niczem nie opierają się, grzęznąc jak im wygodnie w bagnie najnieprawdopodobniejszych machlojek. Czy na to wszystko niema rady?

Qui - Qui.

Coś dla starszych panów

Ciekawa statystyka międzynarodowej pornografji

W końcu kwietnia r. b. obradowała w Genewie pod patronatem Ligi Narodów Międzynarodowa konferencja dla zwalczania handlu kobietami.

W ramach tej konferencji rozpatrywana była również i sprawa zwalczania pornografji, wzgl. sposoby i skuteczność walki z wszelkiemi objawami tego miazmatu, zatruwającego cały, bez przesady, świat.

Bardzo ciekawe i obfite materjały w tym względzie dostarczyły sprawozdania odnośnego biura Ligi Narodów obejmujące wyniki osiągnięte przez poszczególne państwa w walce z pornografją.

Wedle danych, zawartych w tem sprawozdaniu, okazuje się, że w r. 1935 wykryto w Belgji i Estonji tylko **po dwa wypadki** rozpowszechniania reprodukcji pornograficznych.

Kolejne miejsce zajmuje Rumunja, gdzie w ciągu tego roku ukarano zaledwie trzy o**soby za wykonywanie i rozpowszechnianie** reprodukcyj pornograficznych...

W Anglji, gdzie walka w wszelkiemi objawami pornografji prowadzona jest bardzo ostro a przytem i skutecznie, ujawniła policja tamtejsza ośm wypadków, podpadających karze. Zamieszane w procesy te osoby, **razem 60,** skazane zostały na łączną karę 1150 Ł.

Znamienne jest, że największy stosunkowo szmugiel pornograficznemi „produktami" uprawiany jest właśnie do... Anglji.

W r. 1933 skonfiskowały urzędy pocztowe w Anglji 202 przesyłek, a w r. 1934 — 699. Największy kontygent **pochodził z Francji**, (228 przesyłek) kolejne miejsca zajmują Stany Zj. A. P. z 86 i Hiszpanja z 32 „dziełami". Reszta przypada na Austrję, Algier, Szwajcarję, Holandję, Niemcy i Honkong, Danję i Szwecję.

Rekord pod względem ilości skonfiskowanych „dzieł", reprodukcji i t. p. o cechach wybitnie pornograficznych zdobyła w r. 1935 Austrja, w roku tym bowiem skonfiskowano tam **63.000 wydawnictw książkowych,** (prócz „obrazków").

Gdy zazwyczaj w większości wypadków chodzi o reprodukcje obrazkowe, gros konfiskat w Austrji dotyczył wydawnictw książkowych, **wobec 7.000 konfiskat** reprodukcyj obrazkowych.

Na Węgrzech pociągnięto do odpowiedzialności karno — sądowej w r. 1935 **jednego dziennikarza** oraz jednego powieściopisarza i nakładcę.

W Czechosłowacji wykryły władze w tym roku 6 wypadków wykroczeń.

W źródłach nam dostępnych brak było niestety danych, dotyczących Polski.

Nie będzie jednak przesady w twierdzeniu, że o ile chodzi o rozpowszechnianie i konfiskaty najrozmaitszego rodzaju „produktów" pornograficznych, **to nie stoimy... na szarym końcu. (an)**

Drobiazgi

Ostatnio ogłoszone zostały oficjalne wyniki spisu ludności, dokonanego w Japonji w dniu 1 października 1935 r.

Wedle tych danych ludność Japonji wynosiła w dniu tym 69,254,148 osób, a zatem o 4,804.143 więcej, niż w r. 1931. Przyrost wynosi zatem 7,5%.

✶

W przemówieniu swem wygłoszonem dnia 29. IV. w Dreźnie z okazji otwarcia nowego gmachu „Kameradschaftshaus" zdefinjował min. Rosenberg pojęcie rasy jako zewnętrzną stronę duszy, duszę zaś jako wewnętrzną stronę rasy. (Rasse ist die Aussenseite der Seele, die Seele der Rasse). **(a).**

KRZYSZTOF MIŁOSZ

MILJONY

6.

Powieść

Doktryna ta była prosta. Prosta i nieskomplikowana, jak możliwości życiowe Krążka, niemniej była. A fakt ten obowiązywał.

Człowiek, którego cała ekspansja polegała na starannej drobiazgowości wpisywania cyfr w długich kolumnach między zabójczo równoległemi linjami, w zakresie stroju uznawał regułę tej samej staranności i drobiazgowości.

Paski musiały być przyciągnięte, guziki na miejscu i pozapinane. Nie cierpiał też organicznie plam i dziur jakiegokolwiek rodzaju.

Otóż w bezwątpienia pięknej sylwetce doktora Szmendryniuka, zauważył pan Feliks coś, co napełniło go jeśli nie niechęcią, to w każdym razie kazało mieć się na baczności. Nic wielkiego, raczej nawet głupstwo, ale... pomiędzy tak słusznie zwanemi spodniami, a kamizelką wielkiego prawnika, widać było jasny języczek szerokości najmniej półtora centimetra, wskazujący wyraźnie, że kwestja szelek była dla znamienitego prawnika, kwestją — otwartą.

Jeśli więc rzecz, tak drobna zasadniczo, jak obie połowy garderoby doktora, nie schodziły się ze sobą, mogła istnieć równie łatwo jakaś mała niedokładność w jego sposobie myślenia, a to już byłoby w każdym razie niebezpieczne.

— Wszystko to... stało się... tak nagle... — rozpoczął niezbyt pewnie pan Feliks. — Muszę się jeszcze zastanowić, rozejrzeć się, a przedewszystkiem poradzić się żony...

— To wszystko załatwimy,—przerwał doktór Szmendryniuk. — Przewidziałem już najmniejsze drobnostki i pan dyrektor musi mi zaufać pod każdym względem.

— Tak, ale... — próbował oponować spadkobierca.

— Żadne „ale". Przedewszystkiem wyjeżdżamy zaraz z Buska. Jest to warunek konieczny. Gdyby pan pozostał tu do wieczora, wpadłby pan już w ręce pierwszych, lepszych wydrwigroszów, którzy ograbiliby pana ze wszystkiego, zanim zdążyłby pan powiedzieć pierwszą literę swego nazwiska. To prawdziwe szczęście dla pana, żeś mnie pan tu spotkał. Wszystko biorę na siebie. Za godzinę idzie pociąg do Lwowa, niech się pan czemprędzej spakuje, naturalnie nic nikomu nie mówiąc o swym wyjeździe. We Lwowie rozmówimy się z mecenasem Zylbersztainem i rozpoczniemy odpowiednie kroki.

— Panie, ale... ja... ja doprawdy... nie wiem... ja...

— Pan mi najwyraźniej nie ufa, — z gorzkim uśmiechem powiedział wielki palestrant, — ha, jeśli tak, to nie pozostaje mi nic innego, jak oddać pana jego własnemu losowi. Li tylko chęć ułatwienia panu kierowała mną w danym wypadku. Składam mandat, misja moja jest skończona. Żegnam pana, panie dyrektorze, choć muszę stwierdzić, że skrzywdził pan niezasłużenie człowieka szczerze mu życzliwego...

Skończywszy rozmowę, doktór Szmendryniuk lekko podciągnął spodnie, dając tem poznać, iż szykuje się do wyjścia.

Cios był wymierzony z wybitną znajomością psychologji.

— Ależ panie doktorze, — speszył się buchalter, — ja wcale nie kwestjonuję...

— Ale wszystko skończone,—kontynuował Szmedryniuk, pewny już teraz, że nie przeciągnie struny, — potem, co dał mi pan poznać, nie umiałbym się zmusić do wysiłków koniecznych w tak trudnej i skomplikowanej sprawie. Czy ma pan naprzykład papiery potrzebne do postępowania spadkowego?

— Nie... ze skruchą odparł pan Feliks.

— I pieniądze?

— Nie.

— Jakąś własność, na której możnaby oprzeć akcję?

Feliks Krążek zaprzeczył tylko ruchem głowy.

Był zdruzgotany, unicestwiony.

— Więc cóż pan ma? Cóż pan może zrobić sam? Pan nie wie, że wydobycie spadku, to sprawa niezmiernie skomplikowana, trudna, niebezpieczna, wymagająca oprócz znajomości wszelkich przepisów prawnych, także ogromnych pieniędzy.

Tak, rzeczywiście, w tych warunkach lekkomyślnością z mojej strony było ofiarowanie panu mej pomocy, —w tej chwili głos doktora nabrała znów nut lirycznych.—I jak została moja oferta przyjęta? Niskiem, przyziemnem podejrzeniem. Nie, panie...

— Ależ kochany doktorze, ja naprawdę...

Prawnik strzepnął rękami, jakby odgradzał się definitywnie i ostatecznie od słabości uczuć, które mimo wszystko zbliżały go do nieszczęsnego spadkobiercy.

Spadkobierca tymczasem tajał jak śnieg na wiosennem słońcu.

— Panie doktorze, — zawołał tonem niemal bohaterskim, — żeby mi tu, tu włosy wyrosły. Żeby mnie na miejscu piorun strzelił, przysięgam że nie miałem cienia zamiaru urazić pana czemkolwiek, ale pan rozumie. Oferta pańska była tak niespodziewana, że doprawdy... straciłem głowę. Teraz jednak, gdy poznałem pański zacny charakter (uściśnięcie dłoni prawnika), pańskie szlachetne serce (uścisk i potrząśnięcie), nie mogę poprostu wyobrazić sobie, cobym robił, gdyby mnie pan opuścił. Proszę pana (uścisk obu rąk), proszę pana na wszystko (jeszcze jedno uściśnięcie), by pan mnie nie opuszczał, by pan zajął się tą sprawą, by pan... — tu buchalterowi zabrakło właściwego określenia, więc tylko potrząsnął prawicą doktora, uśmiechając się doń pojednawczo.

Mimika Krążka była przy tem tak wyrazista, że przekonałby nią napewno kogoś sto razy bardziej upartego niż lwowski prawnik, nic więc dziwnego, że doktór Szmendryniuk oddał po chwili uścisk dłoni panu Feliksowi i uśmiechnąwszy się również, choć w uśmiechu tym widać było jeszcze resztki niedawnej burzy, powiedział:

— Dobrze, hm... ale niech pan wie, że robię to tylko i wyłącznie dla pana.—Na ten akord bohaterski, kończący wspaniały djalog dwóch wybitnych umysłów, wkroczyła do pokoju właścicielka pensjonatu.

Hańba temu, kto przypuszczał, iż podsłuchiwała pod drzwiami. Faktem jest, że weszła i oznajmiła, iż konie, które mają odwieźć pana Krążka z doktorem na dworzec będą już za chwilę. Powinni więc zająć się przygotowaniem wyjazdu.

Spakowanie walizki, rozdanie napiwków (czuł, że daje zbyt mało, niestety, narazie więcej niemógł dać), pożegnanie ze współmieszkańcami pensjonatu, nie trwały zbyt długo. Trzeba było wszakże konspirować się, no i czasu też zadużo niemieli.

Boże, Boże!

Gdy konie szarpnęły zabłoconą bryczkę z przed ganku, aż ścisnęło go coś w sercu. Mimowoli pomyślał, że skończyły się jego pierwsze i bodajże ostatnie wywczasy i znów wraca do Warszawy, do wielkiej księgi buchalteryjnej w fabryce chałwy „Hellada", przy której siedzieć już będzie bez końca, aż do... końca.

Ale nie, przecież w bryce siedział tuż obok niego jego własny „plenipotent", sam pan doktór Szmendryniuk...

(d. c. n.)

Manewry wiosenne

zakulisowa szopka pierwszomajowa

PREZES WIEDZIAŁKOWSKI.

Nuta: „Przecudowny karafijoł"

Każdy pyta z jakiej racji,
W tej majowej demonstracji,
Choć osobno poszedł „Bund" —
Żydzi stanowili grunt
I gros sił organizacji?

(mówi)

Krzywe ich nosy, kręcone włosiska,
Wzrok dziki, postać cherlawa...
Aż się zatrzęsła, ujrzawszy ich zbliska,
Calutka polska Warszawa!

Nuta: „Przecudowny karafijoł"

Lecz cóż było robić, gdy wszystko się rwie,
A święto nadchodzi majowe? —
Gdy z Frakcją — nie można, z Z. Z-tem — też nie —
C. K. W. aż drapał się w głowę...
Więc bracia z K. P. P. dodajcie mu sił,
By pochód się udał i urósł i tył!

Nuta: „Przecudowny karafijoł"

Nie wypada i niegodnie —
Jest zaś gościom patrzeć... w spodnie!
Z. Z. — nie! i Frakcja — nie! —
Trzeba było z K. P. P.
Choć to mocno... niewygodnie!

PREZES MORAŁCZEWSKI.

Nuta: „1000 walecznych"

1000 walecznych przeszło przez Warszawę—
1000... a może więcej — może: dwa...
Szurig, w liczeniu, co ma wielką wprawę,
Mówił, że — cztery, lecz nie wierzę — ja!
Zbyt pusto było tam, na Nowym Świecie...
Źle być samotnym, źle — mój Z. Z. Z-cie!

Nuta: „Kujawiaczek"

Czerwone jabłuszko, przekrojone na krzyż...
Czemu ty, Jaworsiu, krzywo na mnie patrzysz?
Z. Z. za wodą, Frakcja za wodą —
Trza je pogodzić, bo się pobodą!
Ja ci buzi dam, ty mi buzi dasz —
Ja ci się przydam, ty mi się przydasz!
Damy sobie raz, damy sobie dwa —
Przyjdzie C. K. W. — też nas nie wyda!

PREZES JAWORKOWSKI.

Nuta: „W dzień deszczowy i ponury"

W ten pamiętny dzień majowy,
Nastrój był dość — minorowy...
Chociaż sam pan wojewoda
Swym widokiem serca dodał —
I panowie wokół niego,
Z bezpieczeństwa publicznego —
Zagraliśmy tusz,
Nawet dwa, lecz cóż? —
Plac był pusty, no i już!
Choć pisali potem w prasie —
Nawet w „Polskiej", nawet w „Czasie",
Że nas było pięć tysięcy —
Pisać można jeszcze więcej!
Ale kiedyśmy ruszyli —
Ludzie stali i... liczyli!
Naliczyli — cóż? —
Dwa, dwa pięćset... już!
No i więcej — ani rusz!

Nuta: „Od A do Z"

Myślałem tej niedzieli
O Z. Z. Z.
Gdym siedział sam, w kąpieli,
(Od A do Z)!
I tak mówiłem sobie,
(W wodzie od A do Z),
— „Front Robotniczy" chętnie zrobię
Z Z. Z. Z.!" —

CHÓREM.

Nuta: „Ty pod gazem, ja pod gazem"

Innym razem,
To już — razem!
Dziś, niestety, nie!
Widać byliśmy pod gazem,
Posprzeczawszy się!...
Może w lipcu, może w grudniu,
Może jutro popołudniu —
Ale, z żalem,
Dziś, niestety — nie!

RED. PICZYŃSKI

Nuta: „Umarł Maciek, umarł"

Centrolew się skończył i leży na desce
A ja go wciąż proszę, by podskoczył jeszcze!
Bo w tych partjach twarda dusza,
Że się każda jeszcze rusza!
Danaż moja dana, dana, dana, dana!
Z lewej opozycji i z lewej sanacji —
Stworzym wielką partję lewej demokracji—
Zjednoczony lewy kartel,
A na czele stanie Bartel —
Danaż moja dana, dana, dana, dana!
Heroldem stronnictwa będzie „Kurjer"
Przez rząd popierany, organik jehanny...
Więc lewico ma, lewico —
Czemu milczysz? Głuchaś, czy co?
Danaż moja dana, dana, dana, dana.

(Ze zniechęceniem)

Piszę, piszę i piszę.. dzień i noc zarówno
I co z tego wychodzi? jaki skutek?...—żaden!
A Kaden tylko chodzi i patrzy zukosa
Jak tekę propagandy świsnąć mi sprzed nosa!

„BRAT JAKÓB"

Nuta: „Nie tak to illo tempore bywało"

Nie tak to illo tempore bywało,
Panie Wojciechu, zacny mój sąsiedzie,
Kiedy z Lednickim codzień się śniadało,
A u Skrzyńskiego było na obiedzie!
Gdy Kołodziejski rząd ze sejmem godził,
Bartel z Stępowskim humor miał różowy—
Do „Głosu Prawdy" Andrzej Strug przychodził
I „wdowę Cliquot" piły dzieci Wdowy!
Dziśiaj, gdy źle jest, a być może — gorzej,
Gdy nacjonalizm szerzy się szalenie —
Nie można dłużej siedzieć cicho w loży —
Trzeba wystąpić i działać — na scenie!

Nuta: „Na barykady"

Na barykady, z krzyżem brygady,
Za Bartlem goni sam Andrzej Strug...
Hej, do szeregu bracia masoni,
Komu ojczyzna miła i Bóg!
W górę skroń!
Kielnie w dłoń!
Bracia z lóż —
Wschód Wielki — świta już! (bis).

Chór (Wiedziałkowski, Morałczewski, Jaworkowski).

Nuta: „Raz na lewo, raz na prawo"

Rząd — na lewo, my — na prawo,
Rząd — krok naprzód, my — krok w tył —
Gra się toczy z wielką wprawą
Przy pomocy „młodych sił".
Coraz bliżej... sprawnie, żwawo —
Nowy front — nie wiedzieć skąd —
Trochę w lewo — trochę w prawo,
A na czele — stoi Rząd!

O. Set.

Tydzień ubiegły

Kompleks cenzury ogarnia coraz więcej ludzi w Polsce. Pozornie rozsądni, trzeźwi, wysoce inteligentni i wykształceni przedstawiciele elity naszego społeczeństwa, z niezwykłą łatwością podlegają... szalejącej psychozie cenzury, walczą z tą cenzurą, podważają celowość jej istnienia, psioczą na nią przy każdej okazji, rozdzierając namiętnie szaty nad każdą konfiskatą artykułu w czasopiśmie, czy taśmy w filmie.

Czy aby nie wpadamy w histerję?

Tygodnik nasz, niejednokrotnie i to bardzo boleśnie odczuł na sobie cenzorskie nożyce.

Chociaż młodzi, mamy już w swej karjerze wydawniczej sporo białych plam, wymownie świadczących o prawdziwem zainteresowaniu, jakiem obdarza nas wydział prasowy Kom. Rządu.

A jednak... mimo to, raz jeszcze powtarzamy: czy to rozdzieranie szat nad „działalnością" cenzury nie graniczy przypadkiem ze zwykłą, tak dla nas znamienną histerją?

Ryczałtem zgadzamy się na to, że cenzor, powiedzmy delikatnie, ma bardzo minimalne kwalifikacje na... nauczyciela i wychowawcę społeczeństwa. Nic też dziwnego, że szereg społeczeństw zachodnio - europejskich znakomicie daje sobie radę, bez... nożyc cenzorskich. Ale, na Boga, przestańmy się łudzić. Mimo reprezentacyjnych gmachów, mimo „Adrji", „Prudential'u", Packardów ministerjalnych i żydowskich, mimo IPS-u i „Wiadomości Literackich", Polska po dziś dzień bardziej przypomina dużą Litwę, czy nawet Albanję, niż mikroskopijną chociażby Belgję lub Norwegję. Pozostawienie wolnej ręki zarówno na odcinku wydawniczym, jak i filmowym, w naszych warunkach do złudzenia przypominałoby obdarowanie dziecka, bądź szaleńca... brzytwą!

Przed paru miesiącami wyświetlało kino Filharmonja film sowiecki p. t. „Młodość Maksyma". Chociaż film ten bardzo troskliwie skurtyzowała nasza cenzura, było w nim dość jeszcze scen, które wywoływały „spotaniczny entuzjazm" młodocianych pracowników pasażu Simonsa. W rezultacie, kiedy, mówiąc językiem Wiecha, policji rosyjskiej, rosyjscy robotnicy „spuszczali manto", panowie z p. p. S. obecni na spektaklu — wyli z radości, bili brawo i gdyby wiedzieli, że niema w pobliżu polskiego policjanta, napewno zaintonowaliby: „Eto budiet poślednij i resztielnyj boj..."

Ten sam film oglądałem w Pradze czeskiej. Wyświetlany był tam bez jakichkolwiek kurtyzacji. Publiczność czeska, wśród której niewątpliwie nie brakowało entuzjastów trzeciej międzynarodówki, przyjmowało ten film z równym spokojem, jak warszawskie szwaczki jakiś kicz z Leną Okszańską.

Na ulicach Bukaresztu chłopcy bez najmniejszych przeszkód sprzedają sowieckie „Izwiestia" czy „Prawdę". O ile mi wiadomo kolportaż tych gazet w najmniejszym stopniu nie zagraża istnieniu tronu króla Karola, ale bo też komunistyczna partja Rumunji jest nietylko komunistyczna, ale i... rumuńska. U nas sytuacja wygląda zgoła inaczej, o czem mogliśmy przekonać się niejednokrotnie, a czego ciekawy obraz przyniósł poprzedni numer WIEM WSZYSTKO w interesującym artykule o „Polskiej" Partji Komunistycznej.

Te fakty mówią same za siebie, jasno i konkretnie, potwierdzając konieczność pewnej selekcji słowa drukowanego, jak i filmów, które idą między masy. Mimo zawstydzająco nikłego zainteresowania, jakie społeczeństwo polskie wykazuje zarówno dla gazet czy książek, jak i filmów, to jednak czytają je i oglądają nietylko pp. Słonimscy, Brezowie, Zahorskie i im podobny kwiat naszego życia intelektualnego, ale trafiają te czasopisma, książki, filmy również przed oczy szarego, bezkrytycznego człowieka, który miażdżony nędzą, nękany brakiem jakiegokolwiek oparcia, każde radykalniejsze powiedzenie, każdy radykalniejszy obraz przyjmuje bezkrytycznie i skłonny jest równie bezkrytycznie transponować to wszystko na nasz grunt, na szary, nędzny odcinek własnego życia... A że potęga drukowanego słowa, jak i potęga filmu, mogą zdziałać wiele, o tem wiedzą wszyscy, którzy bacznie obserwowali rozwój ZSRR, Italji Mussoliniego, czy Niemiec Hitler'a.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że motorem do radykalniejszych wystąpień będzie zawsze raczej głód, niż drukowane słowo, czy film. Zgadzamy się z tem całkowicie, tylko, że słowo drukowane i film ten głód prowokują, pchają go na manowce, gdzie już jedyną zaporą mogą być tylko... lufy karabinowe! I o tem nie wolno nam zapominać.

Reasumując — cenzura w naszych warunkach nie jest największą tragedją. Tragedją są raczej niedowarzeni, nieodpowiedzialni cenzorzy. I to może gniewać, to może doprowadzać do białej gorączki, z tem powinno walczyć nietylko społeczeństwo, ale przedewszystkiem Rząd, który zdaje sobie wszakże aż nazbyt dobrze sprawę z doniosłości zadania, jakie włożył na barki cenzora.

Ignis.

Czyżby naprawdę?...

... znany z jaknajgorszej strony „pirat dziennikarski", bohater podsłuchu, p. J. B. Seinfeld zaręczył się z bratanicą wojewody łódzkiego i natychmiast po ślubie miał w tymże urzędzie wojewódzkim objąć „odpowiedzialną posadę?"

*

...w wigilję uroczystości żałobnych, kiedy wszystkie kawiarnie i dancingi własnowolnie zrezygnowały z produkcyj orkiestr jazzowych, jedynie dancing „Paradis" urządził, jak zwykle... podwieczorek taneczny?

*

...właściciel lokalu „Aquarium" był do tego stopnia ograniczonym człowiekiem, że wystawiając w dniu żałoby narodowej w witrynie swego lokalu podobiznę Marszałka, jednocześnie pozostawił w tejże witrynie fotografje mniej lub więcej obnażonych „artystek" produkujących się w jego lokalu.

*

...przykład hrabiny Mielżyńskiej, skazanej niedawno za ułatwianie nierządu, nie podziałał zbyt odstraszająco. W ślady bohaterki procesu idzie, wedle plotek obiegających Warszawę, inna hrabina, „wprowadzająca w świat" dwie młode i okazałe arystokratki.

*

...deklaracja polityczna grupy jednego z najbliższych spółpracowników Marszałka Piłsudskiego nosiła nazwę: „Egzekucja praw narodu polskiego"?

FRASZKI

BRAWO! ANDRZEJU!

Dawniej, dzięki swym rymom, przejmował nas grozą —
Teraz, jął dla odmiany pisać, (Brawo!) — prozą.

NA REKLAMY „POLSKIEGO FIATA"

Wszędzie: „Świetny Polski Fiat" —
Świetny?... Polski?... — Akurat!

NA WYJAZD MINISTRA

To sensacja niebywała:
Pojechał —żona została!

P. MATUSZEWSKI PRZESTAŁ PISAĆ ARTYKUŁY GOSPODARCZE

Zmilkł „genjusz", co chciał rządzić temi zasadami:
— Niechaj naród trociny je, a s.. deskami!

NA P. A. S. T-ę

Kiedyż przyjdzie chwila taka
Że się Paście da — kopniaka!?

NA POLSKICH FILMIARZY

Żaden nie ma talentu, wszystkim brak „gotiu" —
Lecz zato spryt i... chucpę ma każdy — za stu!

PO ATAKU DYR. SZYFMANA NA JARACZA

Kiedy w głowie sens mąci falujące morze —
Nie pisze się wywiadów, luby dyrektorze!

NA GERMANIZCJĘ ŚLĄSKA OPOLSKIEGO

Meine Herren! Wspominajcie dziś też niemcząc Opolskie,
Że retorsja — to znaczy: odwet, w mowie polskiej.

NA UROCZYSTĄ PROKLAMACJĘ IMPERJUM WŁOSKIEGO

A co będzie, gdy jesienią —
Deszcze sytuację zmienią?

NA LIGĘ NARODÓW

Stoi pałac, a w nim Liga: —
Zzewnątrz — humbug, wewnątrz — figa.

OBRONA EX WOJEWODY ŚWITALSKIEGO

... Że głową nie pracował? — Cóż chcecie na Boga!?...
Przecież on nie ma w głowie talentu, lecz — w nogach.

O. Set.

Generał — kameleon

W dniu 2 maja ukazał się rozkaz gen. min. Kasprzyckiego dotyczący pewnych fragmentów pamiętników emerytowanego generała broni J. Dowbór - Muśnickiego, wspominających działalność zmarłych: **gen. Stachiewicza, płk. Lisa Kuli i płk. Barthel de Weydenthal.**

Działalność ta została przedstawiona w pamiętnikach fałszywie, a sposób w jaki b. generał ją określił godził nietylko w dobre imię zasłużonych bohaterów, lecz obrażał honor armji polskiej.

Generał Kasprzycki w swoim rozkazie nie występował personalnie przeciw autorowi, wyjaśnił jedynie i **przypomniał niezwykłe zasługi** wymienionych, dla sprawy odradzającej się Ojczyzny.

Pomijając fakt aresztowania przez gen. Dowbora właśnie tych trzech dzielnych żołnierzy Rzeczypospolitej jako... **„emisarjuszy niemieckich"**, warto sobie przypomnieć pewien wypadek z dość dalekiej przeszłości, który charakteryzuje niezwykłą elastyczność zasad emerytowanego generała.

Działo się to przed wojną. Młody porucznik armji carskiej Józef Dowbor - Muśnicki zgłosił się **do raportu u gen. Dragomirowa,** komendanta okręgu wojennego Kijów z prośbą o poparcie w dostaniu się do Szkoły Wojennej.

Dragomirow uprzejmie odpowiedział, że chciałby zrobić wszystko lecz niestety nie może ze względu **na wyznanie katolickie** porucznika.

Po paru dniach porucznik zgłasza się do komendanta mówiąc, że obecnie niema już żadnych przeszkód gdyż przeszedł na prawosławie.

Nie podobało się to prostolinijnemu moskalowi. Powiedział poprostu: **„Wówczas chciałem ale nie mogłem, dzisiaj mogę ale nie chcę".** Porucznik odszedł z kwitkiem, a cała sprawa znalazła się bodaj w aktach III oddziału Sztabu (odpowiednik naszego II oddziału S. G.).

Nie przeszkodziło to wszystko por. Muśnickiemu zmienić wiarę raz jeszcze, **przechodząc na ewangelicyzm** i dostać się do Szkoły Wojennej.

Przypomnienie tego faktu, ze względu na pojawienie się pamiętników emerytowanego generała Dowbora, uważamy, że jest na czasie.

(h.)

Dokąd warto, dokąd nie...

Teatr — Rewja — Kino

„Ostatnia nowość“ (Teatr Polski). — Mikroskopijny personel TKKT jest tak przepracowany, że „nikak nie‘t“ z doborem repertuaru. W rezultacie — oglądamy wznowienie, na szczęście — tym razem nie najgorsze i arcy-poprawnie zagrane przez cały zespół, na którego czoło wysuwają się: śliczna Gorczyńska. Leszczyński, Samborski i Fritsche, a także młody Żeleński. Kto sztuczki tej nie widział przed paru laty z Modzelewską, może pójść teraz za ulgowym biletem.

„Kot w worku“ (Cyrulik Warszawski).— Zgrabnie zmontowana t. zw. komedja muzyczna, rozpaczliwie banalna, ale mimo to znośna, prawdopodobnie zdobędzie sobie w Warszawie powodzenie równe temu, jakiem cieszyła się w innych stolicach europejskich. Wyreżyserował tę sztuczkę Jarossy nr. 2. Cudów niema. Bardzo dobre dwie panie G. (Grossówna, Górska), tylko w tym ludowym stroju w ostatnim akcie Stefcia wygląda mniej więcej tak jak Moszkowicz przebrany za... kubańskiego kozaka. Dobrzy mężczyźni, rewelacyjny bas w damsko - męskim chórze. Na jakiego djabła Slechter musi we wszystkich swych piosenkach siepać Niemców? To już naprawdę nudzi.

Widz.

„Niewidzialny promień“ (kino „Pan“). — Film „Niewidzialny Promień“ stanowi dziwny amalgamat niesamowitości, egzotyki i pseudo-naukowości. Trzeba przyznać, że niektóre sceny potraktowane są pierwszorzędnie. Naogół film zawodzi i w niektórych miejscach najbardziej dramatycznych — na sali rozlega się śmiech.

Scenarjusz filmu jest inteligentniejszy, niż przy innych obrazach z tego cyklu, ale w niektórych momentach reżyser nie dał sobie rady. Natomiast niektóre fragmenty, jak zdjęcie meteoru, rozpadająca się skała lub też mgławica Andromedy, czynią wrażenie potężne. Epizod afrykański dość szablonowy.

Boris Karloff dał kreację dobrze przemyślaną i wyjątkowo w tym filmie nie szarżuje. Bela Lugosi — mętny, jak zwykle.

Obejrzeć mogą tylko ci, którzy pasjonują się odkryciami naukowemi i problemami fizycznemi. Innych będzie film nużył.

„Załoga“ (kino „Stylowy“). — Jest to bezsprzecznie jeden z najpiękniejszych filmów ostatnich miesięcy. Wszystko w „Załodze“ jest wzorowe, bez zarzutu. Scenarjusz stanowi rzadki okaz idealnie opracowanego dzieła, w którem każdy szczegół jest na swojem miejscu i ma uzasadnione znaczenie. Dramatyczność sytuacji rośnie z każdą niemal sceną filmu, aby dojść wreszcie do zenitu. Reżyser-Anatol Litwak okazał się realizatorem najwyższej klasy. Potrafił wydobyć z tematu, ze scenarjusza i z wykonawców najwyższe akcenty emocjonalne.

„Załogę“, ten piękny poemat dramatyczny, powinien obejrzeć każdy. Nikt nie pożałuje. „Załoga“ pozostawia daleko za sobą szablonowe filmy lotnicze amerykańskie. Każda postać żyje odrębnem życiem, a równocześnie bierze udział w ogólnym konflikcie. Jeszcze raz powtarzam: już dawno nie widzieliśmy filmu, w którym napięcie dramatyczne było tak umiejętnie dozowane i wykorzystane. A przytem reżyser nigdy nie wpada w przesadę, żaden najmniejszy szczegół nie razi nas, nie wnosi dysonansu.

Gra zespołu na najlepszym poziomie. Ponad wszystkich wybija się taktem i umiarem w niesłychanie trudnej roli znakomity aktor Charles Vanel (Maury). Inni wykonawcy stanęli na wysokości zadania. Są to Annabella (Helena), która jest niezwykła zwłaszcza w ostatnich scenach, Jean - Pierre Aumont (Herbillon), lawirujący pomiędzy miłością a przyjaźnią, Jean Murat w roli szlachetnego kapitana, Daniel Mendaille w roli wiecznie gderającego „pilota ze szramą“, Pauley w roli poczciwego grubasa i wreszcie wielka aktorka Suzanna Despres, która dała próbkę wielkiego talentu w epizodycznej roli matki Herbillona.

Potężne wrażenie filmu podtrzymuje doskonale świetna muzyka mistrza Honeggera. „Załoga“ jest filmem pięknym, szlachetnym i porywającym. Warto kupić normalny bilet chociażby za 3 zł.

„Człowiek, który wiedział“ (kino „Majestic“). — Przysięgam, że pod rygorem śmierci nie potrafiłbym opowiedzieć treści tego arcyskomplikowanego filmu romantyczno - gangsterskiego, w którym ginie artystka, która okazuje się damą z towarzystwa pod przybranem nazwiskiem, którą chciał zamordować adwokat, mąż damy, która miała przedtem trzech innych mężów, zato, że ona wiedziała, że on nie zamordował pewnego Freda Dextera, który zginął w chwili, gdy młody Tim zakochał się w artystce, o czem wiedział gangster Kinland, który nie chciał wydać listów, należących do przyjaciółki przyjaciółki drugiego adwokata, co ostatecznie musiał jednak uczynić, ponieważ drugi adwokat był w posiadaniu pewnego czeku, kompromitującego owego gangstera, o czem jednak nie wiedział policjant Doremus, który ścigał adwokata za rzekome zabójstwo młodego reportera, a w końcu okazało się, że kobieta jest mężczyzną i jest adwokatem.

Proszę: proste i nieskomplikowane, ale nie ręczę, że tak naprawdę było, bo może było właśnie odwrotnie. W każdym razie William Powell gra świetnie, jak zwykle, a Ginger Rogers jest miła, aczkolwiek nie tańczy. Reszta zespołu możliwa. Wyróżnia się Farrell Mac Donald w roli detektywa Doremusa. Niektóre sytuacje zabawne, inne dramatyczne, a wszystko razem można obejrzeć, jeśli się kocha Williama Powella.

„Z tobą na koniec świata“ (kino „Capitol“). — Film ten jest dosyć ciekawy pod pewnym względem. Mianowicie jest to z pewnością najlepszy dubbing polski, jaki dotąd wykonano. Jako film nie przedstawia specjalnych walorów. Jest to miła i bezpretensjonalna komedyjka Tristana Bernarda, w której wszystko się dobrze kończy. Okraszona jest pięknemi plenerami i dobrą grą aktorów. Tłumaczenie polskie nie jest dobre, ale reżyser polskiej wersji Romuald Gantkowski dał jednak radę. Z wykonawców wyróżniają się Halina Cieszkowska, która dubluje Betty Stockfeld, Jan Kreczmar, który mówi za Roger Treville‘a i Stanisław Łapiński (Raymond Cordy). Natomiast potworny jest pan Zbigniew Ziembiński w roli hrabiego. Jest formalnie nieznośny.

Film „Z tobą na koniec świata“ może stanowić atrakcję dla widzów, nie znających obcych języków, bo da im możność usłyszenia i zrozumienia mowy w zupełnie bezpretensjonalnym filmiku francuskim.

X. 27. —

Łączka kretynów

Zważywszy na to , że Polska posiada zbyt mało czasopism, a... miljony czytelników spragnionych drukowanego słowa, grupa wybitnych fachowców wydawniczych, na której czele stanęli pp. Baumritterowie, Liljenfeldowie i Kobrynerowie, postanowiła przyczynić się do zaspokojenia tego... głodu wydawnictw perjodycznych.

W pierwszym numerze wydanego przez nich czasopisma znajdujemy m. in. „recenzję“ z filmu „Róża“. Tajemniczy sprawozdawca filmowy gustownie zauważa: „Inna sprawa ,czy Żeromski jest „czarowiczem“ filmu i czy jego **papierowa gadatliwość** sprzyja rozwijaniu się akcji...“

A dalej, tenże sam genjuszek stwierdza: „15 lat, 10 lat temu może płakalibyśmy nad losem gnębionych i przeklinalibyśmy gnębicieli — teraz w prespektywie lat **martyrologja powstań,** zbyt już nadużyta przez produkcję filmową, **poprostu nudzi nas“.**

Że was „nudzi“ miłe szmajgełesy z... Oberży w Bagateli, to rozumiemy, ale poco o tem pisać, poco drażnić gojów, dla których martyrologja ich powstań nie jest znów tak bardzo nudna?... Zresztą, było i jest prawdopodobnie **sporo żydów,** dla których ani Żeromski nie jest „papierowo gadatliwy“, ani martyrologja powstań tak bardzo nudna. Tylko że ci żydzi mają więcej taktu, niż krajowa spółka wydawnicza: Włast, Liński i Kobryner. **Stary Pies.**

Coś tu jest nie w porządku

W sądzie grodzkim, a następnie w sądzie okręgowym toczyła się sprawa, która nie wywołała większego echa, a której podłożem jest sensacyjna walka dwóch profesorów Politechniki warszawskiej.

Prof. Broniewski oskarżał prof. Czochralskiego, stojącego na czele instytutu metaloznawstwa, instytucji o olbrzymiem znaczeniu dla obrony państwa, o zniesławienie. Prof. Czochralski w liście do senatu akademickiego nazwał prof. Broniewskiego wrogiem państwa. Zarzut ten powstał na tle walki między obu profesorami, a w szczególności serji zarzutów, wysuniętych przez prof. Broniewskiego przeciwko prof. Czochralskiemu.

Prof. Broniewski między innemi stwierdził że w swoim czasie prof. Czochralski optował na rzecz Niemiec i dotychczas nie przyjął obywatelstwa polskiego.

Nie będziemy wdawali się w szczegóły tej przykrej sprawy, ale jedno musimy stwierdzić. Przewód sądowy wyjaśnił, że istotnie wspomniany zarzut braku obywatelstwa polskiego był słuszny. A więc prof. Czochralski, który dotychczas nie umie dobrze mówić po polsku, nie jest obywatelem polskim, a stoi na czele tak ważnej dla Państwa instytucji.

Prof. Czochralski całe życie pracował na wszechnicach niemieckich. Polak z pochodzenia, zdobył sobie zasłużoną sławę wielkiego uczonego. Jeżeli u schyłku swego życia prof. Czochralski postanowił oddać swoją wiedzę i umiejętności na rzecz swej ojczyzny, czemu nie przyjmuje polskiego obywatelstwa? Czyżby serce jego bliższe było Niemcom, niż ojczyźnie? Pytanie kłopotliwe, ale p. profesor musi na nie dać odpowiedź! **(z.).**



Gruby, opasły, z czerwonym nosem z wiecznem cygarem w spróchniałych zębach. B. dyrektor teatru objazdowego. Znają go dobrze miasta prowincjonalne, w których zbierał dużo pieniądzy z tej czy innej operetki, znają go i aktorzy, od których chętnie pożyczał, lecz nie oddawał, znają go szczególnie dobrze aktorki, od których „pożyczał“ biżuterję na wieczne oddanie. Syt sławy dyrektorskiej osiadł na stanowisku kierownika domu - schroniska dla starszych kobiet na Puławskiej, równocześnie prowadzi podobny zakład na Belwederskiej. Wyzyskuje osiadłe tam kobiety, głodzi je, pobrawszy od rodzin ryczałt do końca życia pensjonarjuszki. Pobiera kaucje od woźnych, stróżów, a następnie ich wyrzuca. Sprzedaje jedne i te same mieszkania, pobierając odstępne od paru osób naraz. Ma lat 60, co nie przeszkadza mu posiadać 20-letnią przyjaciółkę. Przepuszcza lekko „zapracowane“ pieniądze w równie lekki sposób w nocnych lokalach. W menażerji umieścilibyśmy go w rodzinie wyleniałych kujotów skrzyżowanych z czarnymi mandarylami.

*

Na stosunki polskie jest niewątpliwie krezusem, w całem tego słowa znaczeniu. Wysługując się zagranicznemu kapitałowi, zdobył sobie olbrzymi majątek. Piękna willa w Warszawie, rozległa posiadłość ziemska w Grodzieńskiem, konta w bankach szwedzkich i szwajcarskich. A przecież... mimo to wszystko pan prezes jest człowiekiem skromnym. Chociaż ma eleganckie auto, woli jeździć... tramwajem. Wybierając się do siebie, do majątku, wydaje sekretarce dyspozycje, aby kupiła bilet... trzeciej klasy. Ubiera się w żydowskich sklepikach na Świętokrzyskiej, nosi wyszarzałe, tanie krawaty, które napewno kupuje w... wózku. Ocieka moralnością chrześcijańską i stale narzeka na nędzę... Ulokujmy miljonowego biedaczynę w klatce - basenie, pospołu z łagodnemi... rekinami.

PRENUMERATA wraz z orzesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9,— OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości mm. szerokości 1 szpalty, zwyczajne 60 gr., w tekście 1.20 gr. nadesłane 1 zł., Komunikaty 80 groszy. K o l u m n a p o s i a d a 4 s z p a l t y

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: K r ó l e w s k a Nr. 35 m. 20, tel. 6.33-66 czynne codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 10-ej do 13-ej Konto w P. K. O. Nr. 15.581

Redaktor i Wydawca **Włodzimierz Popławski.**

Druk. Nowoświecka, Warszawa, Nowy Świat 57, tel. 2-72-16.